

# moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 marzec 2018, nr 22



# Gmina w obiektywie

Ostatnie zimowe akcenty tego roku.

W mroźne dni nad stawem w Mysiadle wszystkie ptaki mogły liczyć na pomoc okolicznych mieszkańców.





13



19



7



28



40

## Spis treści

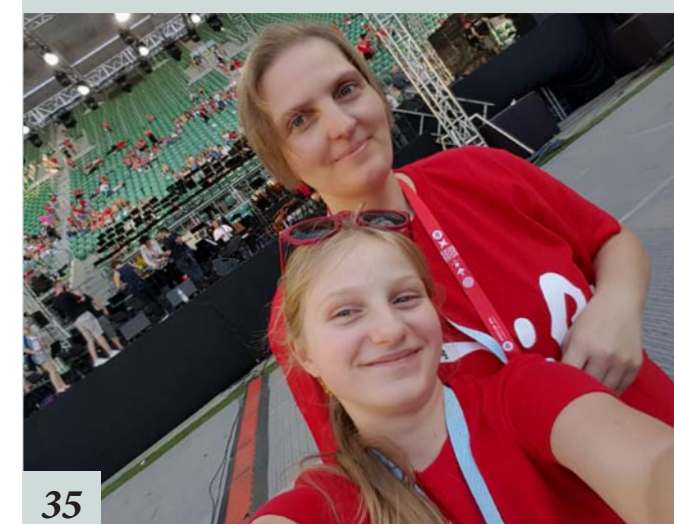
- 6 Od Redakcji
- 7 Opowieści przy malowaniu pisanek  
*...wszędzie pisanek. Na ścianach olejne obrazy*
- 13 **Moje Zamienie**  
*...jestem najstarszym mieszkańcem urodzonym w Zamieniu*
- 19 **Dzień dobry – Bonjour**  
*...wszystko zaczęło się osiem lat temu*
- 23 **Jak nie teraz, to...**  
*...na spotkanie z nami pani Ola przyjechała z Berlina*
- 28 **Dzień kobiet**  
*...kobiety w pięćdziesięciu sześciu krajach świata obchodziły swoje święto*
- 30 **Ułani z Wilczej Góry**  
*...jednego grania nie zapomnę do końca życia*
- 35 **Gabrysia**  
*...przeżyła wielką telewizyjną przygodę*
- 40 **To, co pływa i lata**  
*...ograniczeniem w robieniu przynęt jest chyba tylko wyobraźnia*
- 46 **Gala Sportu 2018**  
*...gala sportu w naszej gminie jest świętem*
- 48 **Jajko na dobry początek**  
*...niby zwykłe jajko, ale*



23



30



35



## Od Redakcji

Pisanki na okładce zapowiadają wielkanocne święta, a sfotografowane w połowie marca krokusy nadejście wiosny. Jakby nie patrzeć, obydwie zapowiedzi są miłe i optymistyczne.

Co proponujemy w tym wydaniu? Odpowiedź jest prosta, zgodna z linią naszego miesięcznika. Proponujemy Państwu poznanie ludzi z pasją, którzy każdego dnia przechodzą być może obok nas, a my mijamy ich obojętnie, bo nie mieliśmy okazji się poznać.

Od chwili, gdy zaczęliśmy wydawać miesięcznik, poznawaliśmy ludzi, o których piszemy, powtarzamy sobie ten sam tekst: „Mieszkamy tu tyle lat i nie mieliśmy pojęcia, że tylu ciekawych ludzi mieszka obok nas. Co człowiek, to historia”.

W tym numerze zaglądamy do bardzo ciekawego domu w Magdalence, by opowiedzieć o nim, o pasji robienia pisanek i malowaniu obrazów.

Przedstawiamy najstarszego urodzonego w Zamieniu mieszkańca i ułanów z Wilczej Góry, którzy są wierni kawaleryjskiej tradycji.

W Zgorzale poznaliśmy licealistę, który ma dwie bardzo interesujące pasje. Jedną związaną z wodą, a drugą wynoszącą go wysoko w przestworza.

W Stefanowie o swojej drodze do telewizyjnego programu „The Voice Kids” opowiedziała nam jego uczestniczka, a w Nowej Iwicznej z zainteresowaniem wysłuchaliśmy o muzycznej karierze skrzypaczki, studiującej na wydziale jazzu uniwersytetu sztuki w Berlinie.

Ponieważ w naszej gminie nieustannie coś się dzieje, byliśmy na spotkaniu z młodymi Francuzami, którzy w ramach wymiany przyjechali do szkoły w Łazach, wpadliśmy na Dzień Kobiet do Wólki Kosowskiej i w Centrum Sportu z przyjemnością uczestniczyliśmy w dorocznej gali.

W naszej kuchni tym razem króluje jajko. Inaczej w okolicach Wielkanocy być nie mogło.

Życzymy miłej lektury i pozdrawiamy świątecznie.

Redaktor naczelny  
*Andrzej Kwiatkowski*

## moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski  
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk  
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska  
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2  
KONTAKT [mojalesznowola@gmail.com](mailto:mojalesznowola@gmail.com), tel. 600 056 069



# Opowieści przy malowaniu pisanek

Panią Barbarę Chojnicką poznaliśmy przy okazji jubileuszu chóru Oktawa. Wiedzieliśmy, że śpiewa, ale nie mieliśmy pojęcia, że robi przepiękne pisanki, maluje, chodzi na zajęcia Uniwersytetu Trzeciego Wieku i interesująco, ze swadą opowiada. Sygnał o tym, że Basia robi pisanki, dostaliśmy od Ali i Kazimierza Marczyków.



fot. z archiwum prywatnego  
Barbary Chojnickiej



Panią Barbarę odwiedziliśmy w domu w Magdalence. Przed świętami wielkanocnymi chcieliśmy porozmawiać o pisankach, ale gdy zobaczyliśmy dom, weszliśmy do środka, poczuliśmy jego klimat, musieliśmy zacząć od domu.

#### **W Magdalence działki dzielą**

– Mieszkaliśmy z dziećmi w Ursusie – opowiada pani Barbara. – Rodzinę mieliśmy nad Pilicą w okolicach Radomia, bo ja stamtąd pochodzę. Teść był lekarzem, moi rodzice nauczycielami. Gdy dzieci były małe, mąż w niedzielę zimą brał sanki i przyjeżdżał z nimi do Magdalenki na górki, a ja zostawałam w domu i przygotowywałam obiad.

Bardzo mu się tu podobało. Kiedyś, gdy był z dziećmi na sankach, zobaczył, jak koło brzózek zatrzymały się rządowe samochody. Panowie wysiedli, wzięli się pod boki i zaczęli rozmawiać: „Tu działkę będzie miał Wacek, tu jakiś inny Wacek, a w tych brzózkach Karol”. Wrócił mąż do domu i mówi: „Słuchaj, tam już działki dzielą między siebie. Nie będzie gdzie jeździć.

Trzeba coś w tej Magdalence kupić”.

Jak trzeba, to kupiliśmy. Wprawdzie parę rodzin w te okolice przyjeżdżało, ale my jedyni, chcieliśmy zamieszkać tu na stałe.

Ogrodziliśmy naszą polankę i postanowiliśmy coś na niej postawić, żeby było gdzie schować materiały na budowę domu. Znajomy męża powiedział, że może nam z demobilu załatwić wojskowy namiot. I załatwił. Stał na grodzonej polance. Rezultat był taki, że ludzie, którzy przechodzili koło naszej działki, mówili: „Tu się buduje ktoś z wojska, pewnie jakiś pułkownik. Nie, pewnie ktoś z MSW”.

Na materiały budowlane trzeba było mieć przydział. Właściwie na wszystko trzeba było mieć przydział. Wiadomo, jak to się wtedy budowało. Podjęliśmy decyzję, że dom będzie drewniany.

Czasem zastanawiam się: jak ja to wszystko przeżyłam? Pan Bóg nade mną czuwał. Mąż pracował, mieliśmy dwójkę małych dzieci i małucha, czyli małego fiata. Jeszcze raczkowałam w prowadzeniu, bo prawo jazdy zrobiłam w czasie studiów, a potem

urodziły się dzieci. Do samochodów nie było fotelików, więc dziecko trzeba było trzymać. Dlatego nie rwałam się do kierownicy. Gdy dzieci podrosły, zaczęłam więcej jeździć, ale od zmieniania biegów bolała mnie ręka, bo ze zdenerwowania za mocno ścisnęłam dźwignię.

Przed Magdalenką, w moich stronach nad Pilicą, mieliśmy działkę. Tam wybudowaliśmy dom. Duże słowo – dom. Drewniane wnętrze i suporex. Kochaliśmy ten dom. Uciekaliśmy do niego i to była nasza wewnętrzna emigracja. Każdą wolną chwilę tam spędzaliśmy. Byliśmy ze wszystkimi zaprzyjaźnieni. Obok mieszkali Jeremi Przybora z żoną i profesor Józef Mroszczak, dziekan wydziału grafiki ASP. Stanowiliśmy wielką rodzinę.

Miałam tam ogródek, wszystkie warzywa. Wieś przychodziła i oglądała. Pierwsze cukinie, jakie widzieli, były u mnie. Teraz wprawdzie uprawiają karczochy, mają sady, ale wieś pozostała wsią. Jak moja ciocia była we wsi nauczycielką, to grali sztuki, występowali. Mieli jakieś zainteresowania. W tej chwili mają telewizory, komputery. Wieczorem, kiedy leci serial, żywej duszy na wsi nie ma, aż strach wyjść. Coraz rzadziej tam jeździmy.

#### **Dom marzeń**

– Rozgadałam się trochę, a miałam mówić o domu – upomniała siebie pani Barbara i wróciła do opowieści.

– Kiedy była już działka w Magdalence, mąż pojechał na narty do Rytra. Wyszedł na spacer i zobaczył przepiękny, drewniany dom. Chodził pod ten dom codziennie rano, oglądał go ze wszystkich stron, co nie uszło uwadze właściciela. Któregoś dnia zaintrygowany wyszedł i zapytał: „A co pan tu tak chodzi, ogląda i ogląda? – Ja pod Warszawą buduję dom w lesie, a ten dom bardzo mi się podoba – odpowiedział mąż.

– W lesie, powiada pan. Chcesz pan żyć dziesięć lat dłużej, to buduj tylko drewniany” – odpowiedział właści-



### **...trzydzieści pięć lat temu Jan Stopka ze swoją brygadą przyjechał do Magdalenki**

ciel domu i zaprosił męża do środka. Pokazał dom, poczęstował herbatką i dał mu adres górala, który dom postawił.

Po tygodniu byliśmy w Kościelisku u górala, Jana Stopki, który wybudował dom marzeń mojego męża. To był wspaniały człowiek. Powiedział, że postawi nam dom, tylko musimy zdobyć drewno i przez dwa, trzy lata je sezonować.

Wytrzymaliśmy. Zdobyliśmy drewno i trzydzieści pięć lat temu Jan Stopka ze swoją brygadą przyjechał do Magdalenki. Na naszej polance stanął przyciągnięty od sąsiadów barakowóz, górale w trymiga zbili piętrowe łóżka. Gdy weszłam do środka, nie poznałam wnętrza. Wszystko było gotowe. Przyniosłam góralom pościel, zrobiłam kolację, a ponieważ słyszałam, że oni bez alkoholu nie pracują, kupiłam ileś tam spirytusu i nauczyłam się w mig robić przepalankę.

Siedzimy przy stole na pierwszej kolacji, stół zastawiony, a oni

kieliszki odwracają do góry dnem. „Co jest? Gospodyni się wam nie podoba?” – pytam. A oni na to, że jak był w Polsce Jan Paweł II, nasz papież, to ślubowali, że nie będą pili. Szczyt szczęścia. Budowa szła bez problemów.

Nasz góral poruszał się spokojnie i pewnie. W tym sztablu ta belka pójdzie jako trzecia na górze, ta jako piąta, dziesiąta. Wiedział wszystko. Skąd? Z głowy!

Potem czekaliśmy na mszarza. To ten, co między deskami i belkami wióry utyka. Optyk, mówią, albo mszarz, a na wióry mówią wolina. Przywieźliśmy go z Zakopanego. W Witowie, u innego górala, zamówiliśmy otwory okienne. Żalowali, że nie mają troszkę hebanowego drewna albo innego, bo kolorowe by nam zrobili. Ale mnie się bardziej podobały takie proste. Pokrycie gontowe też jest z Witowa. Kupiliśmy tam gont, który w kolebach został nasączony jakimiś tajemniczymi środkami i przywieziony do Magdalenki.

Przyszedł dzień przyjazdu mszarza. Miał przyjechać z synem pociągiem koło północy. Pojechałam po nich na dworzec, choć ani jednego, ani drugiego nie znalazłam.

Umówiliśmy się telefonicznie, że poznam go, bo będzie śpiewał. Stoję taka biedna na tym dworcu, patrzę, idzie taki jeden, co mi się wydaje, że to ten. Pytam się: „Jasiek Bukowski? – A Bukowski, a wyście ta pani, do której mam jechać? – A gdzie ojciec? – Ojciec się opóźnił – odpowiedział Jasiek. – Ale przyjedzie” – dodał, żeby mnie uspokoić.

Na drugi dzień pojechałam po ojca i zaczęła się robota. Zrobili sobie rusztowankę, skręcili te skrętki, napychali między płazy (deski), a potem mieli takie coś jak miecz czy maczeta i obcinali na równo z deskami. Z jednej strony obcinali na równo, a z drugiej zostawiali muszelki. Żeby było jeszcze ładniej, cały dom chcieli mi zarzeźbić, więc musiałam ich pilnować, żeby nie przesadzili i żeby były gładkie płazy i gładkie belki. A płazy były modrzewiowe i sosnowe na przemian. Po czterech, pięciu latach trzeba było zrobić korektę, podobiając w niektórych miejscach wióry.

Jak majster przyjechał, obejrzał i powiedział: „A dyć to są takie dobre te płazy, że będziecie mieć ładny dom”. I jest ładny. Taki, jaki sobie mój mąż wymarzył.



### Moje malowanie

Idziemy do pracowni. Wszędzie pisanki. Na ścianach olejne obrazy. Jedne i drugie są dziełem pani Barbary. Na wszelki wypadek zapytaliśmy, czy pani Barbara kończyła jakąś szkołę plastyczną, studiowała malarstwo, ale nie. Z zawodu jest inżynierem. Skończyła politechnikę. Wydział geodezji i kartografii. Z malowaniem było tak, że wszystko zaczęło się na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Magdalence.

– Gdy już dałam się namówić Mai Troszkiewicz (*Kim jestem?* „moja Lesznowola” nr 14/15) i zaczęłam śpiewać w chórze Oktawa, to dalej już poszło – mówi pani Barbara.

– Z chórem było tak, że wstydziłam się Majce odmówić i pojechałam na pierwszą lekcję. Jestem w nim do dziś. Potem długo, długo namawiały mnie do malowania. W prezencie dostałam książkę o malarstwie, przeczytałam i zaczęłam chodzić na zajęcia na UTW.

To jest mój pierwszy malunek. Koleżanki malowały na desce, a ja dostałam kawałek kartonu. Dlatego mi wstyd i to pierwsze dzieło ukrywam, ale jak na pierwszy obraz, to chyba nie jest tak źle. Tak czy inaczej zaszczepiły we mnie chęć do malowania.

Tu są uliczki francuskie, bo tam córka ma dom i czasami do niej jeżdżę. A tu magnolie. Moją fanką jest synowa. Dużo obrazów dostała ode mnie w prezencie. Nie wszystkie zdążyłam nawet sfotografować.



Jechałam do koleżanki, zobaczyłam maki, sfotografowałam, a potem przeniosłam na płótno. Irysy, kwitły w ogródku nad Pilicą. Wiele fotografuję latem, żeby zimą mieć temat, bo z pamięci nie umiem malować. Muszę mieć wzór i popatrzeć.

Chryzantemy wisiały w domu mojej znajomej na białej ścianie, w pięknych szerokich ramach. Bardzo mi się podobały. Kiedy czasem wyjeżdżali, przynosili ten obraz do mnie na przechowanie. Kiedyś się zapytałam, czy mogłabym z tego obrazu zrobić sobie kopię. „A zrób sobie” – odpowiedzieli. Długo nie mogłam się zabrać do malowania, ale kibicowała mi synowa i wreszcie pomału, pomału zabrałam się. Gdy znajomi przyszli po swój obraz, nie mogli zdecydować, który jest kopią, a który oryginałem. Nawet od znajomego usłyszałam komplement, bo powiedział: „Ty wiesz, że ten twój bardziej mi się podoba, bo jest taki świeży i ma połysk”.

Opowiem jeszcze jedną historię. Tutaj są takie nieudane tulipany. Kiedyś z okazji Bożego Narodzenia pojechaliśmy wszyscy zobaczyć udekorowaną świątecznie trasę królewską. Naprzeciwko hotelu Bristol była czynna galeria. Tam synowa zobaczyła na obrazie piękne tulipany. Mnie też się podobały. Mówię: „Wiesz co, trzeba zrobić zdjęcie. – One są w internecie – poinformował opiekun wystawy, a na to starszy wnuczek, odciągając synową, powiedział – No, chodź już, chodź, babcia ci namaluje”.

Hiacynty to jeden z moich pierwszych obrazów. Dostałam kiedyś od synowej hiacynty w doniczkach i zaczęły się łamać pod ciężarem kwiatów. Włożyłam je do akwarium i mówię: „Jezus Maria, jakie to byłoby fajne, gdyby je namalować”. Przegnałam się. „Boże, czy zdołam to, co widzę przenieść na obraz?”

Malowałam do rana, a rano wyglądałam, czy moja synowa idzie do garażu, żeby jej pokazać. Pokazałam. „Mamo, to jest świetne” – powiedziała.



...wszystko zaczęło się na Uniwersytecie Trzeciego Wieku





...Wielkanoc  
to moje ulubione  
święta

### Pisanki

– Tu jest urobek ostatnich dni – mówi pani Barbara, pokazując gotowe pisanki. – Te są jeszcze nabite na patyki, bo inaczej nie można malować. Oglądam je dokładnie, bo niektóre, tak jak te duże, mają spaw i muszę kombinować, jak zrobić, żeby go ukryć.

Jeżeli jajko ma jakieś wgłębienia, to zaciągam je gęstą akrylową farbą. Pierwszy raz zrobiłam białą, ale jak chcę mieć spękania określonego koloru, to muszę pokryć jajko takim właśnie kolorem. To się nazywa crakle. Jest to preparat, który musi potem dwie, trzy godziny schnąć. Gdy wyschnie, jajko maluję. Przeważnie kolorem ecru. To jest taki biały łamany kolor.

Wszystko to muszę robić zimą, gdy grzeją kaloryfery i jest suche powietrze. W lecie operacja trwa dłużej. Później myślę, jak tę „skorupkę” upiększyć.

W sezonie techniką decoupage robię kilkadziesiąt pisanek i ani jedna mi nie zostaje, bo jak składam życzenia świąteczne moim znajomym, to każdy chce dostać jajko, więc muszę ich zrobić sporo.

Pierwsze pisanki robiłam na zajęciach UTW u pani Uli Słowińskiej. Ona wszystko, co było potrzebne do wykonania pisanek, przynosiła. Wspaniały człowiek. Dostawałyśmy

jajka do ozdabiania i pokazywała zrobione przez siebie. Patrząc na nie, mówiłyśmy: „To niemożliwe, żebyśmy takie zrobiły. – Jeszcze piękniejsze będziecie panie robiły” – odpowiadała pani Ula. I robiłyśmy pierwsze pisanki. Ręce drżały, nie było wprawy, ale gdy urobek przyniosłam do domu, wszystkim się podobały. Moje wnuki mówiły: „Babcia, świetnie”. To, że te crakle są dziś takie ładne, to wynik staranności i rutyny. Robię je już czwarty rok.

Gdy biorę do ręki jajo, mniej więcej wiem, co chcę z niego zrobić. Jak craklowe (spękane), to muszę je najpierw w całości pokryć farbą koloru tych spękań. Po około trzech godzinach od nałożenia preparatu nakładam farbę docelową, która ma zdobić wierzch. Spękania wychodzą szybciej. Następnego dnia są już piękne. Potem szukam elementów, którymi chcę to przyozdobić: fiołkami, bratkami czy kurczętami. Prawie się nie powtarzają. Mam kilka toreb serwetek, których fragmenty wykorzystuję do nakładania na jaja. Wydieram wybrany wzór i specjalnym preparatem, który jest jedno-

cznie lakierem, klejem i substancją zabezpieczającą, naklejam na jajka. Gdy wyschnie, sprawdzam i szlifuję wszystkie ewentualne wgłębienia, a następnie co trzy godziny zabezpieczam bezbarwnym lakierem półmatem. Takich warstw trzeba nałożyć minimum pięć lub sześć. Praca jest bardzo czasochłonna, ale bardzo to lubię i bardzo się przy tym uspakajam. Efekty widać w koszyczku.

Przyznam się, że te moje pisanki są w Kanadzie, w Stanach, we Francji i w Niemczech.

Tydzień przed Niedzielą Palmową chodzę na kiermasze przed Muzeum Etnograficznym. Boże, jakie tam są pisanki. To tam kupiłam specjalny dzbanuszek, do którego nalewa się rozgrzany wosk i robi nim wzory na pisankach. W tej dziedzinie jeszcze raczkuję, ale wszystko przede mną.

Wielkanoc to moje ulubione święta. Kiedyś wydawało mi się, że nie ma nic ponad Boże Narodzenie, ale kiedy zaczęłam śpiewać w chórze Oktawa te niesamowicie piękne, stare pieśni wielkanocne, poczułam magię tych świąt. Teraz mam już czas, żeby się nimi cieszyć. ■



# Moje Zamienie



Informacja na mapie gminy jest krótka. „Zamienie – wieś o charakterze rolniczym. W miejscowości zachowane resztki parku podworskiego. Na jego terenie nad stawem pomnik przyrody – 200-letni wiąz szypułkowy, w alei dojazdowej stare lipy i kasztanowce”. By porozmawiać o tej miejscowości, odwiedziliśmy najstarszego wśród urodzonych w Zamieniu mieszkańca wsi, pana Mieczysława Walczaka.



fot. z archiwum prywatnego państwa Walczaków

### ...każdy był wtedy jednakowo biedny i bogaty

Gdy w Zamieniu powstał zakład szczepionek, a to mógł być 1949 lub 1950 rok, wtedy zaczęło się dziać. Tu była wytwórnia, która po II wojnie światowej miała największą w Europie, a nie wiem, czy i nie na świecie, produkcję surowicy. To wszystko zostało zburzone.

Po wytwórni surowic i szczepionek zostały piękne stajnie, które ktoś pozwolił rozebrać. Nie miał się tym kto zająć po prostu. To wszystko była cegła, ściągana na budowę ze zburzonej Warszawy.

Tu, moim zdaniem, można było stworzyć wspólny ośrodek rekreacyjno-sportowy. Przecież to były czasy, gdy ludzie z pierwszych stron gazet kupowali konie i chętnie by je w tych stajniach trzymali. Tym bardziej że był też szpital dla koni i przepiękny budynek doświadczalny, w którym można było zrobić hotel.

Do dziś można w Zamieniu obejrzeć mury stacji trafo należącej do wytwórni, mury spichlerza, gdzie trzymano ziarno dla koni, stary budynek zakładowej straży pożarnej, stawy i uschnięty, już niestety, stareńki wiąz szypułkowy.



Gdyby ktoś szukał takiego Zamienia, pewnie by kilka razy przejechał uliczkami i wsi o charakterze rolniczym nie znalazł.

– Kiedy przed laty istniało w Zamieniu gospodarstwo produkcyjne Ośrodka Wytwórni Surowic i Szczepionek, wszystkie tereny dookoła były rolne. Na ziemiach klasy I, II, III, a tu jest taka ziemia, nie można było budować. Tak było za komuny i później, jeszcze na początku lat 90. Szkoda takich ziem, jakie są tu, w Podolszynie, części Nowej Woli i w Zgorzale, ale czasu się nie zatrzyma – mówi pan Mieczysław.

### Z rodzinnego albumu

– Jestem najstarszym mieszkańcem urodzonym w Zamieniu. Po wojnie była tu jednostka wojskowa i wojskowa szkoła felczerów. Mój chrzestny jeździł z dowódcą jednostki i sprowadził do pracy mojego tatę. Ojciec palił w piecu i opiekował się budynkiem. Później powstała tu szkoła dyrektorów i tata ściągnął mamę do pracy w kuchni. Mama gotowała i tak zostali w Zamieniu.

Mama pochodziła z Falent koło Raszyna. Tata z Walewic. Nie pamiętam już dobrze tych opowieści, czy właścicielką Walewic była hrabina, ale sprzedała ona tamten majątek i kupiła drugi w Falentach. Ściągnęła do pracy szwagra taty, szwagier z kolei tatę i tak się zaczęło.

Ojciec z mamą poznali się i pobrali w 1942 roku. Jak przyszli tu do roboty, to zamieszkali w klitce, której ja bym mieszkaniem nie nazwał. Tam się urodziłem. Dziś śladu po budynku nie ma, ale miejsce mogę pokazać. Po jednostce wojskowej i szkole pozostał budynek kasyna i stolówka. Mury stoją do dziś.



Ja w wytwórni szczepionek pracowałem tylko latem, jak chciałem zarobić na wakacje. Niewiele jeszcze żyje ludzi z mojego pokolenia. Nieraz wspominamy jak ciężko pracowaliśmy. Teraz młodzi nie garną się do pracy. Jak młodym z ochotniczej straży pożarnej opowiadamy, że potrafiliśmy w marcu w pięciu czy sześciu chłopców dziesiątki ton kompostu w trzy dni rozwieźć po polach i rozrzucić, to nie chcą wierzyć. A tak było. Brali nas, młodych, do pomocy przy rozładunku owsa albo węgla z wagonów. Pomagaliśmy też rolnikom w polu ziemniaki zbierać.

Bieda była niesamowita, bo pracujący tu ludzie, pochodzili przeważnie z biednych stron. Każdy był wtedy jednakowo biedny i bogaty. Jednakowo.

### Życie było ciekawsze

– Powiem coś, co pewnie wielu zdziwi. Mimo wszystko wtedy było fajniej niż teraz. Mieliśmy na terenie Zamienia najlepszą klubokawiarnię. Budynek przepiękny, z centralnym ogrzewaniem. Działo wtedy koło ZMW i LZS. Była kawiarenka, telewizor, mieliśmy bilard. Nawet ja przez siedem lat uczyłem się grania na akordeonie. Była też mandolina i jeszcze coś.

Świetlicę mieliśmy wspólną. Był ping pong. Było gdzie pójść. Teraz młodzież nie ma, gdzie się zaczepić. Grało się w piłkę i życie było dużo ciekawsze.

Moja żona jest z Kurpi, spod Pułtuska. Poznaliśmy się w pracy, w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych w Piaseczynie. Potem pracowaliśmy razem w Kruszywie na Karczunkowskiej.

Gdy poszedłem do pracy w WPRD, to w stosunku do tego, co zarabiałem przedtem, miałem duże pieniądze. Jak powiedziałem sąsiadowi, ile zarabiam, to nie mógł uwierzyć. Załatwiłem też pracę mojemu ciotecznemu bratu i brat pokazał mi kiedyś pasek z wypłatą. Nie uwierzył ale zaczęła się zazdrość.

Żeby coś mieć, zaczęliśmy oszczędzać. Tak robiło wielu ludzi. Pobraliśmy się i po roku kupiliśmy samochód, garbuskę warszawę. Garbuska, nie garbuska, ale już mieliśmy samochód. To się liczy. W tamtych czasach, w 1974 roku, samochód miał tylko Waclaw Słowiński, lekarz weterynarii, i Kozub, właściciel sklepów motoryzacyjnych.

Gdy pracowałem w Kruszywie, jeździłem górnozaworową warszawą 224. W piaskarni na Siekierkach miałem znajomych mechaników pomogli mi w jej remoncie i wyszykowali, że głowa mała. Jeden z mechaników tak się na nią napalił, że zamieniliśmy się na samochody. On mi dał taunusa, a ja mu warszawę.

Miałem pierwszy zachodni samochód w okolicy. Podobno był robiony specjalnie na zamówienie polskiego ambasadora w Szwecji. Miał cynkowane blachy, był zarejestrowany na sześć osób i dopracowany w każdym szczególe. Miał tylko jedną zasadniczą wadę. Bardzo drogie były do niego części zamienne.

Potem był duży fiat i maluch. Pierwszy nasz nowy samochód, który szybko sprzedałem, bo żona robiła prawo jazdy na żuka i maluchem nie chciała jeździć.





*...ludzie też bardziej się szanowali, bo żyli na jednym poziomie*



Dawne czasy wspominam z wielkim sentymentem. Nie tylko dlatego, że byliśmy młodzi. Niedawno nawet wspominaliśmy, że kiedyś krewni choć mieszkali od siebie daleko, jak przyszły święta, Boże Narodzenie, czy Wielkanoc, furmankami jechali do Zamienia i świętowali razem. A teraz? Nikt nie ma czasu. Nawet najbliższa rodzina. Wiem to po sobie. Było nas trzech braci. Siostrzeniec i siostrzenica mieszkają stosunkowo blisko, a rzadko się odwiedzamy. Praktycznie spotykamy się tylko z dziećmi i z wnukami.

Dziś młodzi ludzie są zapracowani. Kiedyś szło się do pracy na osiem godzin i fajrant. Nawet w te soboty, choć nie były wolne, człowiek wcześniej wyszedł, bo pracował do 13.00. W niedzielę od 11.00 można było kupić alkohol w Piasecznie (*śmiech*).

Ludzie też bardziej się szanowali, bo żyli w zasadzie na jednym poziomie. Mam taki przykład. Bratowa pochodzi spod Łomży. Jak chodziłem do zawodówki, to jeździłem do niej na wakacje. Tam we wsi, nawet jeśli sąsiedzi byli lekko skłóceni, to jeden drugiemu pomagał, jeden drugiego szanował. Kiedy jednemu z gospodarzy, który był miejscowym masarzem zaczęło się lepiej powodzić rodzina zaczęła mu zazdrościć. Ciotki, wujkowie, stryjkowie próbowali mu dorównać, ale patrzyli na niego krzywym okiem. Jednak gdy spaliła mu się stodoła, to choć byli skłóceni, pierwsi pospieszyli z pomocą.

### Nikomu nie wadzę

– Sołtysem w Zamieniu zostałem dziesięć lat temu, ale udzielam się bardzo długo. Pierwszym sołtysem był Janek Krupa, a ja byłem przewodniczącym rady sołeckiej. Wcześniej istniała rada osiedlowa i też byłem przewodniczącym. Myślę, że nikomu nie wadzę. Jestem człowiekiem dość operatywnym, pewnie dlatego mnie wybierają.

Od szesnastego roku życia, czyli od 1966 roku, jestem związany z naszą ochotniczą strażą pożarną. Mając szesnaście lat, można było wstąpić do młodzieżowej drużyny. W tej chwili jestem jednym z najstarszych żyjących tutaj strażaków. Tu była kiedyś straż zakładowa, ponieważ w każdym zakładzie, a więc i w wytwórni surowic, musiała działać jednostka straży pożarnej.

Dziś nie pamiętam dokładnie, czy to był 1990 czy 1991 rok, gdy pojechaliśmy do pani wójt z pytaniem, czy nas zechce. Zgodziła się i od tamtej pory nasza straż jest pod parasolem pani wójt. I bardzo dobrze, bo naprawdę dużo się zmieniło na lepsze, a może dożyję, że będzie jeszcze lepiej. Mamy teraz przyzwoity garaż z płyty oborskiej. Już jest cieplutko, a przez jakiś czas warunki były tragiczne.

Od trzech lat nie jestem prezesem straży. Młodzi wszystko przejęli. Byłem prezesem dwie kadencje – dziesięć lat. Wcześniej byłem przewodniczącym komisji rewizyjnej, też chyba przez dziesięć lat.



Byliśmy wzywani też do podtopień. Ulica Cicha w Nowej Iwicznej była nam dobrze znana. Siedzieliśmy tam nawet po trzydzieści sześć godzin. Strasznie zalewało. Teraz już się to zmieniło.

### Piłka nożna

– Zamienie miało własną, dobrą drużynę piłkarską. Było tu trzech piłkarzy. Mój najstarszy brat i jego dwóch kolegów grało w Warszawiance. Ja też sporo grałem, dopóki nie nabawiłem się kontuzji. Grałem na prawym ataku. Teraz zawodnicy mają samochody albo gmina załatwia im dowóz na mecze, a ja jeździłem nysą w firmie i z tej nyski po cichu korzystaliśmy.

Po kontuzji w Nowej Woli jeszcze zagrałem kilka razy, ale już nie dałem rady. Z wysokości całym ciężarem ciała upadłem na jedną nogę. Już do końca meczu nie zagrałem, a później miałem wodę w kolanie i bardzo długo, bo chyba jedenaście lat, czekałem na operację. Szwagierka po znajomości załatwiła mi operację w Konstancinie. Teraz czasami jeszcze czuję tę nogę. Najgorzej było przed schudnięciem. Gdy ważyłem 114 kg, to z fotela nie mogłem się podnieść. Jak schudłem, od razu było lepiej.

Wprawdzie z piłką był koniec, ale z aktywności nie zrezygnowałem. Udzielałem się tak ogólnie, w radzie osiedlowej, potem zająłem się sprawą gazyfikacji Zamienia, która przebiegła bardzo szybko i sprawnie. Zdziwienie byli nie tylko miejscowi, ale i mieszkańcy Mysiadła i Iwicznej. Pełną dokumentację zgromadziliśmy w czerwcu 2003 roku, a w listopadzie mieliśmy już gaz.

Mieliśmy szczęście do ludzi, którzy nam bardzo pomogli. Wykonawcą głównej linii gazowej był pan, który przez dwadzieścia pięć lat zajmował się odbiorem instalacji. Poszło szybko. Bardzo pomogła nam pani wójt. Jak trzeba było podpisać dokumentację, to przez dwa, trzy dni architekt zajmował się tylko naszymi papierami, bo tu były 63 łącza. Kiedy w zakładzie zlikwidowano kotłownię, od razu odcięli nam ciepło. Na początku jeszcze z panią wójt próbowaliśmy ratować sytuację, kupowaliśmy sami węgiel i palaczki palili w kotłowni. Zimą jakoś przetrzymaliśmy, a w kolejnym sezonie już był gaz.

Do sześćdziesiątego piątego roku życia jeździłem do pożarów. Teraz też mogę jeździć, bo jestem konserwatorem sprzętu przeciwpożarowego, ale do akcji już broń Boże, bo wiek na to nie pozwala. Sześćdziesiąt pięć lat się kończy i temat się zamyka.

Największy pożar, z jakim mieliśmy do czynienia, zdarzył się 11 maja 2006 roku w magazynach hurtowni oświetleniowej Brillux w Starej Iwicznej. Byliśmy przy pożarze pierwsi i siedzieliśmy tam kilka dni. Strasznie było wtedy gorąco. Zaraz za magazynem składowano palety. Podobno ktoś wyszedł na papierosa, przygasił go na nieoheblowanym słupku palety i od tego się zaczęło jarzyć. Z tej strony poszedł pożar. Takie są przypuszczenia, ale nie jest to oficjalnie potwierdzone. Jak ogień złapał te plastikowe kable to był koniec.

Potem był pożar w Wólce Kosowskiej w centrum tureckim, a następnie płonąła wielka hala przy osiedlu tureckim, tam gdzie jest ulica Nadrzeczna.

Wejść do hali nie było można, bo wisiały legary, a prądy wody nie sięgały środka, ponieważ hala była olbrzymia. Najpierw byliśmy tam dzień i noc, a potem jednostki jeździły na zmiany. To były największe pożary.



Autobus do Zamienia załatwiła pani Kiślowa. Mieliśmy tu pętlę. Zaangażowaliśmy się mocno w kilka osób, bo trzeba było nawieźć bardzo dużo gruzu, potrzebny więc był i sprzęt i transport. Wszystko robiło się społecznie. Teraz, jak się powie, że coś trzeba zrobić społecznie, to nie ma mowy. Dziś się należy i najlepiej z góry. W zeszłym roku na którejś sesji rady była awantura, że niedaleko Biedronki prawie siedem lat ludzie mieszkają, a drogi dojazdowej nie mają. Pani wójt tłumaczyła, że najpierw trzeba pociągnąć wodociąg, zrobić kanalizację deszczową i dopiero drogę. W końcu nie wytrzymała sołtysowa z Nowej Woli i powiedziała: „Ja czekałam trzydzieści lat na drogę, to i państwo mogą poczekać”.

A w Zamieniu jakie drogi były? Tragedia. Pamiętam, było zebranie i pani wójt akurat przejeżdżała, ja na drodze stałem w gumowcach i błoto miałem do kostek. Człowiek tyle lat czekał, a nowi się pobudowali i już chcą mieć wszystko. I nie docierają argumenty, że najpierw to, to i tamto, a dopiero na końcu droga, żeby jej nie psuć. Świat się zmienił i ludzie się zmienili.



Od osiemnastu lat jestem na rencie, a od dwóch na emeryturze. Żona (Teresa) jest na emeryturze od siedemnastu lat, ale jeszcze dorabia w przedszkolu. Ostatni rok. Teraz będziemy jeździli na ryby. Sporo jeździmy. Na majowy weekend pojedziemy pod ukraińską granicę. Co roku w czasie wakacji z młodszą córką i wnuczkami wyjeżdżamy na kilka dni. Przeważnie na Mazury, ale kocham też góry. Na urlopie bardzo dużo zwiedzamy. W zeszłym roku byliśmy w przepięknym miejscu. Dwa jeziora, staw, wędek nabrałem i ani razu nie rzuciłem. Nie było czasu. Wróciliśmy do naszego Zamienia. ■



Poniedziałek 19 lutego. W Zespole Szkół im. Jana Pawła II w Łazach atmosfera oczekiwania. Uczniowie, dyrektor szkoły Zofia Doktorska w towarzystwie Doroty Perczyńskiej, nauczycielki języka angielskiego, i Agnieszki Dzikiewicz, nauczycielki języka francuskiego, czekają na gości z Francji.



*...jeśli chodzi  
o mówienie,  
to dzieciaki robią  
niesamowite  
postępy*



Młodzież ze szkoły w Les Herbiers od soboty była już w naszej gminie. Ze swojej, położonej w zachodniej Francji gminy wyjechali o 4.30 rano, by pociągiem TGV dojechać do Paryża. Potem samolotem Air France przylecieli na lotnisko Okęcie, gdzie w hali przylotów czekali na nich razem ze swoim rodzicami uczniowie ze szkoły w Łazach. Sobotnie popołudnie i niedzielę młodzi Francuzi z gimnazjum Jean-Yole spędzili w domach polskich rodzin. W poniedziałek o ósmej rano równo z pierwszym dzwonkiem zjawili się w Łazach.

Zaczął się od krótkiego powitania. Uczniowie oprowadzili kolegów z Francji po szkole i zgodnie z programem zaczęły się zajęcia. Najpierw odbyły się warsztaty kulinarne. Młodzi Francuzi uczyli się lepić pierogi, a po południu polsko-francuska grupa udała się do Pałacu w Wilanowie na warsztaty zatytułowane „Wizyta u króla”.

W kolejnych dniach uczniowie zwiedzali pierwszy i najdłuższy istniejący w Polsce niemiecki obóz koncentracyjny KL Stutthof w Sztutowie. Byli w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, obejrzeli gdańską starówkę i pospacerowali wieczorem nad Bałtykiem.

W czwartek udali się do Torunia i w Muzeum Żywego Piernika uczestniczyli w warsztatach robienia pierników.

W piątek razem z polskimi opiekunami wzięli udział w integracyjnym spotkaniu w restauracji Bazylia, a w sobotę odlecieli do Paryża.

Tyle w telegraficznym skrócie. O współpracy polskiego i francuskiego gimnazjum opowiedziała nam pani Agnieszka Dzikiewicz.



*...młodzi Francuzi  
uczyli się lepić pierogi*

#### **Wymiana bez granic**

– Wszystko zaczęło się osiem lat temu, gdy w czerwcu 2010 roku kilkoro uczniów z gimnazjum w Łazach wyjechało wraz z dyrektorem szkoły i nauczycielką języka francuskiego do Francji w ramach unijnego programu „Wymiana bez granic: dzieci i gminy Europy”. Przez tydzień mieszkali w domach francuskich rodzin w malowniczym Les Herbiers, w pięknym regionie kraju Loary. Zwiedzali okolice, gotowali wspólnie polskie i francuskie potrawy, oglądali francuskie szkoły. Porozumiewali się w języku angielskim, francuskim i doszli do wniosku, że była to wspaniała okazja, by podszlifować język.

Podczas pobytu we Francji – wspomina pani Agnieszka – nawiązałam kontakt z nauczycielką języka francuskiego z gimnazjum Jean-Yole, panią Sylvie Preau, która poszukiwała w Polsce szkoły z językiem francuskim, z którą jej gimnazjum mogłoby nawiązać współpracę.

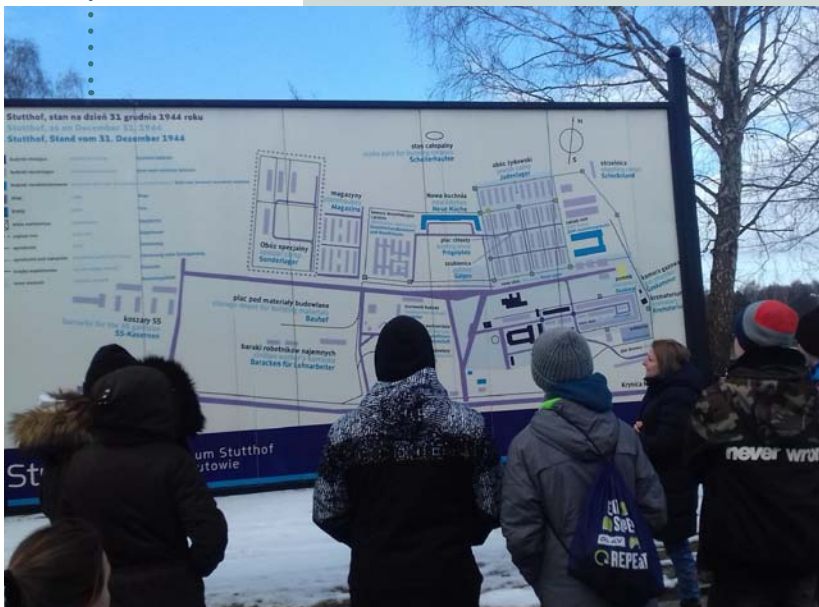
Wymieniłyśmy korespondencję, dyrekcje szkół uzgodniły warunki i w marcu następnego roku nastąpiła rewizyta. Dwanaścioro uczniów z gimnazjum Jean-Yole przyjechało z opiekunami na tydzień do Lesznowoli. Na przełomie maja i czerwca polskie dzieci wyjechały do Francji.

Od 2011 roku w ramach tej współpracy mamy stałą wymianę uczniów. Oni przyjeżdżają do nas w lutym lub w marcu, latem nasi uczniowie jadą do Francji.

Z Francji przyjeżdżają do nas uczniowie z trzeciej klasy gimnazjum, którzy kończą naukę i przechodzą do liceum. U nas do tej pory było podobnie, ale ponieważ gimnazja znikają, pewnie zastosujemy inny klucz doboru.

Praktycznie wygląda to tak, że w września nasze dzieci deklarują chęć uczestnictwa w wymianie. Jeśli jest więcej chętnych niż miejsc, to kryterium kwalifikacyjnym jest poziom znajomości języka angielskiego i dobre zachowanie. Francuskiego nasze dzieci zaczynają się uczyć dopiero w gimnazjum, więc jego znajomość jest jeszcze słaba, a język angielski jest obowiązkowym kryterium dla obu stron, naszej i francuskiej.

Program wymiany ma certyfikat Ministerstwa Edukacji Narodowej Francji, który potwierdza partnerstwo obu szkół i w ramach tego partnerstwa realizujemy projekt „Miejsca pamięci narodowej w Polsce”. Certyfikat ten nasza szkoła otrzymała w 2013 roku, a w tym roku otrzymaliśmy kolejny, potwierdzający kontynuację wymiany. Patronat nad projektem objęła w tym roku pani wójt, Maria Jolanta Batycka-Wąsik.



Każdego roku w programie znajduje się zwiedzanie któregoś z niemieckich obozów koncentracyjnych, pobyt w muzeum, takim jak Muzeum II Wojny Światowej czy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Chodzi o to, by młodzi Francuzi, którzy do nas przyjeżdżają, poznali historię Polski, kulturę, zwyczaje. Poznali ludzi.

Gdy pod koniec trzeciego roku gimnazjum uczniowie zdają we Francji egzamin z języka angielskiego, mogą podczas niego wybrać jakiś temat z realizowanego w Polsce projektu. Przed przyjazdem do Polski francuskie dzieci uczą się podstawowych polskich zwrotów grzecznościowych, dostają specjalnie przygotowane w języku angielskim i francuskim słowniczki, pozwalające na zrozumienie niektórych zwrotów związanych z historią Polski, holokaustem, obozami, słowem – miejscami, które w Polsce odwiedzają i o których usłyszą.

My do Francji jedziemy, gdy jest ciepło. Program jest inny. Trochę lżejszy, bo tam wędrujemy po zachodnim wybrzeżu, zwiedzamy miejsca związane z historią Francji i Napoleonem Bonaparte. Byliśmy na wyspie świętej Heleny, gdzie zmarł cesarz Francuzów.

Drugi, najważniejszy wymiar projektu realizowanego podczas wymiany, to nauka języka. Dzieciaki mają przede wszystkim motywację do nauki, bo mieszkają w rodzinach swoich kolegów i muszą się dogadać. Kiedy polskie dzieci goszczą w swoich domach Francuzów, to nie muszą się aż tak bardzo mobilizować, jak będąc tam, gdy mieszkają w rodzinach francuskich. Często trafiają przecież do takich rodzin, w których po angielsku mówi tylko ich rówieśnik, a cała rodzina, u której mieszkają i z którą muszą się porozumieć, mówi po francusku.

Z moich dotychczasowych obserwacji wynika, że jeśli chodzi o mówienie, to dzieciaki robią niesamowite postępy. Oczywiście na początku boją się błędów językowych, ale bardzo szybko o tym zapominają. Wszystko jedno, czy „Kali mieć, czy Kali być”, byle się porozumieć. I o to chodzi.

Dla mnie jako nauczycielki cenne jest to, że wiele przyjaźni, które się zawiązują podczas wymiany, zostaje na dłużej. Mamy przypadki, że młodzi ludzie często z rodzinami odwiedzają się podczas wakacji. To znaczy, że rodziny i dzieciaki zostały dobrze przeze mnie dobrane, bo to na mnie spoczywa obowiązek przydziału, kto do jakiej rodziny trafi, kto, z kim będzie mieszkał.



### ...wiele tych przyjaźni zostaje na dłużej

Przed przyjazdem uczniów z Francji ustaliśmy program pobytu i proponujemy go tym rodzicom, u których będą mieszkali. Jak dotąd przebiega to bez zakłóceń. Dzieci z polskimi rodzinami spędziły tym razem sobotni wieczór po przyjeździe do Łaz, a także niedzielę i poniedziałkowy wieczór. Potem pojechały w Polskę i wróciły do swoich gospodarzy w czwartek na noc, spędziły razem piątek i w sobotę zostały odwiezione na lotnisko.

W tym czasie zwiedzały razem z polskimi rodzinami Warszawę. Były w Wilanowie, w Centrum Nauki Kopernik, oglądały Starówkę i inne miejsca. Nie zdarzyło się jeszcze tak, żeby te dni spędzili w Łazach. Rodziny starają się, żeby pobyt u nich był atrakcyjny, a rola gościnnego i troskliwego gospodarza wypadła jak najlepiej.

Myślę, że nasi goście wyjechali z Łaz zadowoleni, bo po tych kilku zaledwie dniach spędzonych razem ciężko było się rozstać.

Ciekawe, czy po przyjeździe do domu zaproponują swoim rodzicom pierogi z mięsem? Nauczyły się je robić w naszej stołówce. ■

fot. Ania Zawadzka

Ola – czy jak kto woli – Aleksandra Błachno sprawia wrażenie beztroskiej, wesołej nastolatki. Z uśmiechem opowiada o tym, co się jej w życiu udało, ale co ważniejsze, z uśmiechem opowiada także o tym, co się jej w życiu nie udało. Dlaczego postanowiliśmy o niej opowiedzieć? Bo jest uparta i jest to w jej przypadku cechą pozytywną.

Jak  
nie  
teraz,  
to...

Na spotkanie z nami pani Ola przyjechała z Berlina. Od trzech lat tam mieszka i raz w miesiącu wpada do rodzinnego domu w Nowej Iwicznej. Właśnie na początku marca się zjawiała, zgodnie z umową zadzwoniła, że jest, chętnie się spotka, bo zna „moją Lesznowolę”. Rodzice są czytelnikami miesięcznika.

Co robi w Berlinie? Pracuje po trzystaście, czternaście godzin dziennie i realizuje swoje pasje. Jakże? Pomału do tego dojdziemy.

### Prapradziadek

W mojej rodzinie nikt nie zajmował się muzyką. Podobno prapradziadek grał na dworze carskim, ale to wszystko, co od taty wiem o prapradziadku, na którym kończy się historia muzycznej rodziny – opowiada ze śmiechem pani Ola.

– Moi bracia, jeden prawnik, drugi inżynier, w dzieciństwie grali na keyboardzie, na gitarze, jeden nawet coś tam zaczynał z jazzem, ale to nigdy nie przerodziło się w coś poważnego. Ja jestem najmłodsza w rodzeństwie. Tata nigdy do niczego nas nie przymuszał. Sam zawsze

chciał grać na akordeonie, ale nie miał pieniędzy, by się uczyć. I wydało mi się, że całą energię włożył we mnie, bo wiedział, że chcę chodzić do szkoły muzycznej.

W szkole muzycznej zaczęłam naukę, mając osiem lat. Czternaście lat grałam na skrzypcach. Dlaczego na tym instrumencie? Dokładnie nie pamiętam, ale podobno ktoś, kto mnie przesłuchiwał, powiedział, że mam bardzo dobry słuch i poleca skrzypce. W szkole muzycznej znalazłam się dzięki pani Grażynie Machnickiej, mojej nauczycielce muzyki w szkole w Nowej Iwicznej. Wzięła na bok któregoś z moich rodziców i powiedziała, że dobrze śpiewam, mam dobry słuch i warto byłoby się tym zainteresować. Tak się zaczęło.

W Państwowej Szkole Muzycznej I st. im. K. Kurpińskiego w Warszawie uczyłam się w klasie skrzypiec prof. Ewy Rupocińskiej-Kotuli. W Ogólnopolskim Konkursie Skrzypcowym „Mistrz Literatury Dziecięcej O. Rieding” zajęłam III miejsce. Z wyróżnieniem ukończyłam klasę skrzypiec w PSM II st. im. Józefa Elsnera w Warszawie



fot. z archiwum prywatnego Aleksandry Błachno

w 2011 roku. Równolegle zajęłam się śpiewem, który z czasem stał się moją największą pasją.

W Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Fryderyka Chopina skończyłam czteroletni wydział piosenki i wydział jazzu. Uczyłam się już dwanaście lat gry na skrzypcach i równolegle byłam po piosence. Ukończyłam wydział aktorsko-wokalny, na którym trzeba było przejść przez różne style muzyczne. Gdy skończyłam piosenkę, zajęłam się jazzem. W 2012 roku ukończyłam z wyróżnieniem wydział piosenki (wydział wokально-aktorski) w PSM II st. im. Fryderyka Chopina w Warszawie.

Pewnego dnia, gdy byłam jeszcze na jazzie, stwierdziłam, że muzyka muzyką, ale trzeba czytać i uruchomić mózg. W muzyce fajnie się siedzi, mogę godzinami grać, ćwiczyć, ale to nie rozwija. Na akademii muzycznej jest dużo prób, ćwiczeń, ale nie ma intelektualnego rozwoju. Dlatego zaczęłam studiować animację społeczno-kulturową i jako specjalizację wybrałam psychologię twórczości. Zrobiłam dosyć obszerne badania na temat ludzi ze świata muzyki, którzy mieli osiągnięcia wykraczające ponad przeciętność.

Zajmowałam się w mojej pracy tym, co pomaga i co przeszkadza w byciu artystą, w tworzeniu, w pracy artystycznej. Tytuł mojej pracy licencjackiej brzmiał bardzo naukowo – „Stymulatory i inhibitory twórczości w aktywności muzycznej, na podstawie

aktywności twórczej profesora Andrzeja Jagodzińskiego”. Pianisty, który w swej karierze koncertował niemal na całym świecie, biorąc udział między innymi w Jazz Yatra - Bombay, Ost-West Nurnberg, Jazz in Europe-Paris, Skane Festivalen in Malmo, Edinburgh Art Festival, Ankara Music Festival, Leverkusener Jazz Tage oraz Istanbul International Festival. Na jego przykładzie chciałam ukazać różne rodzaje motywacji twórczej u artystów, rolę środowiska, w którym człowiek wzrasta i się rozwija, rolę rodziny, szkoły.

### Jadę dalej

– Myślałam o aktorstwie. Przez trzy kolejne lata zdawałam na wszystkie akademie teatralne i muzyczne. Ponad dwadzieścia razy zdawałam egzaminy wstępne. W muzyce byłam już tyle lat i dalej mogłabym rozwijać się sama, więc dla czego nie spróbować szczęścia w akademii teatralnej, tym bardziej że z aktorstwem miałam już kontakt. Przez kilka lat uczestniczyłam w zajęciach, które w Staromiejskim Ośrodku Kultury prowadziła absolwentka warszawskiej akademii teatralnej, Zuzanna Górniasek.

Próbowałam więc dostać się do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiań-

skiego w Krakowie, Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Uwielbiałam te egzaminy wstępne. Uwielbiałam. Były świetne, naprawdę. Dużo się w życiu przez nie nauczyłam. Nie rozwiązałam jednak zagadki, dlaczego je oblewam.

Miałam konsultacje u różnych aktorów. Pani Zuzanna mówiła: „Ola, ja nie wiem, o co chodzi. Dla mnie jesteś najlepszą kandydatką do akademii teatralnej. Śpiewasz, świetnie tańczysz, jesteś biegła we wszystkim, co się da, wszystko robisz, ale cię nie chcą. Przygotowuję innych młodych ludzi do egzaminów i oni się dostają, a ty za każdym razem odpadasz. Co się dzieje? To jest dla mnie największa zagadka w życiu”.

Dla mnie też to była zagadka. Ale to, że się nie dostawałam, wcale mnie nie zniechęcało do kolejnych startów. Wprost przeciwnie, to mnie bardzo mobilizowało. Podczas jednego z egzaminów pani profesor powiedziała „Jest pani dla nas idealnym materiałem”. Ucieszyłam się, że ktoś tak mnie ocenia i... nic z tego nie wyszło. Nie zdałam.

Wiele razy byłam przekonana, że dobrze mi poszło, ale z jakiegoś powodu nigdy w życiu, nigdzie w szkołach teatralnych nie dopuścili mnie do drugiego etapu. Ze trzy komisje powiedziały mi: „Nie wiemy, co z panią zrobić. Jest pani świetna” A później w punktacji za wszystko byłam oblewana: za taniec, za śpiew – zero punktów.

Wielu moich znajomych by spawowało, a ja mówiłam sobie: „Coś mi się tu nie zgadza. Wiem, że dałam radę, i jadę dalej” (śmiech).

### Jadę w świat

– Na wydział jazzu Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy dostałam się sześć lat temu. Myślałam: „Uczelnia fajna, będzie w porządku”, ale w mieście nic się nie działo. Jedyne miejsce, w którym chciałam być, to Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, na której od paru lat jest jedyny prestiżowy wydział jazzu. Co roku na wokalistykę jazzową mają jedno bądź dwa miejsca. Chętnych jest około stu. Taka trochę loteria.

Zdawałam tam trzy razy. Oczywiście wszystko było w porządku, ale trzeba wybrać dwie osoby albo jedną. Nie wiem, co w takim wypadku decyduje. Przypadek, szczęście, znajomość. Ja ich nie miałam.

Gdy skończyłam studia w Warszawie, powiedziałam sobie: „Ostatni raz w życiu zdaję na akademię muzyczną”. Poszperałam w internecie, przeczytałam, co się dzieje w Europie i postanowiłam ruszyć w świat. Wybrałam dwa miejsca: Graz w Austrii i Berlin w Niemczech. Moja mama była ciekawa, co ja im tam powiem – że w Polsce mnie nie chcieli? (śmiech).

Nie ukrywam, że liczyłam na Berlin. Graz to jest szesnaście godzin jazdy.

...czternaście lat grałam na skrzypcach



Do Berlina z Ursynowa mam dobre połączenie. Bus, pociąg, samochód, cokolwiek – chwila i już się jest na miejscu. Berlin mi się udał. Studiuję na Universität der Künste – uniwersytecie sztuk.

Pojechałam do Berlina z zerową znajomością niemieckiego (*śmiech*). Chciałam wybrać uniwersytety, które są dobre, i wcale wtedy nie myślałam o języku (*śmiech*). Wykłady są po angielsku. Na wydziale jazzu na roku jest nas dwadzieścia osób. Dwa wokale, trzech pianistów, dwóch kontrabasistów i tak dalej. I na te dwadzieścia osób jest kilka z Niemiec, a reszta to międzynarodowa mieszanka. Ktoś z Tunezji, z Francji, Kanady, Węgier, Skandynawii, dużo osób z Danii i dużo z Polski. Wśród kilku instrumentalistów jestem jedyną wokalistką.

Należę do takich osób, które bardzo się boją i... wsiadają do pociągu. Boję się i jadę. Wsiadam i mówię sobie: „Jak nie teraz, to nigdy” albo – „To już ostatni raz”. Naprawdę, na wstępne egzaminy do Berlina jechałam ze strachem i ze łzami w oczach, a kiedy przyszła ta chwila, byłam przygotowana na sto procent. Jak trzeba, to wyglądam na osobę najodważniejszą na świecie i pewnie jest to jakiś rodzaj odwagi.

Na uczelni jest tak, że obok głównego instrumentu, w moim przypadku głosu i obowiązkowego fortepianu, muszę wybrać jeszcze dwa instrumenty. Przez rok grałam na gitarze basowej i wracam do skrzypiec, bo w tym roku będę miała na uczelni skrzypce jazzowe i zajęcia u profesora, który jest skrzypkiem jazzowym.

### Mój jazz

O jazzie zdecydował przypadek. Któregoś dnia, a było to jeszcze podczas nauki gry na skrzypcach, dowiedziałam się o Międzynarodowych Warsztatach Jazzowych w Puławach. Te warsztaty, organizowane od lat, ściągają co roku wybitnych muzyków jazzowych, kompozytorów i wokalistów z całego świata.



fot. Adam Cegielski

...chcę  
śpiewać  
jazz

Miałam wtedy piętnaście lat i blade pojęcie o jazzie.

Tam dopiero usłyszałam, jak ludzie śpiewają. Byłam zauroczona. Powiedziałam do swojej przyjaciółki, która ze mną była w Puławach: „Zapamiętaj ten dzień. Będę śpiewała jazz”. Zaczęłam się uczyć jazzu i o jazzie. Słuchałam jazzu, czytałam o jazzie, żyłam jazzem. Do Puław jeździłam przez kolejne lata jako osoba, która z każdym rokiem wiedziała więcej i zaczynała śpiewać.

Po Puławach przyszły inne warsztaty muzyczne. Brałam udział w Międzynarodowych Warsztatach Jazzowych w Pradze (Czech Jazz Workshop), Międzynarodowym Kamпусie Artystycznym FAMA w Świnoujściu, warsztatach jazzowych z prof. Johnem Kuzmichem, warsztatach prowadzonych przez The Ari Roland Jazz Quartet oraz licznych

warsztatach wokalnych prowadzonych przez Hannę Banaszak, Annę Serafińską, Kevina Mahogany’ego, Urszulę Dudziak i wielu innych.

Cięgle szukałam i nadal szukam stylu dla siebie. W Berlinie próbuję wszystkiego, bo taki jest tok nauki. Dziś jest jazz afrykański, a za tydzień rytmy brazylijskie. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby się zdefiniować.

Mam już trochę mojej muzyki, własnych kompozycji, tekstów, ale to wszystko nie jest jeszcze spójne. Nadal próbuję i szukam swojej tożsamości. Nie myślę o przyszłości, o tym, co będę robiła po studiach, ale z pewnością wybiorę samodzielną, choć z pewnością trudniejszą drogę. Może będę liderką, wokalistką na czele zespołu, która komponuje, pisze i jest odpowiedzialna za to, co robi.

Uwielbiam słuchać Steviego Wondera i Stinga. Na ich muzyce się wychowałam. Chcę śpiewać jazz, ale żeby się rozwijać w rozrywce, trzeba studiować jazz, mieć wiedzę na temat harmonii, melodii, rytmu. I ja to z radością studiuję. Zawsze nauka sprawiała mi przyjemność.

W szkole muzycznej jako mała dziewczynka byłam bardzo szczęśliwa. Umiałam łączyć podwórkę ze szkołą. Wprawdzie nie dosypiałam, ale byłam szczęśliwa. Lubiłam występować, być na scenie. Choć zawsze temu towarzyszył jakiś stres, bo boję się wyjść na scenę. Jednak jak już jestem, to frajdę mam ogromną.

Taką frajdę miałam w 2009 roku, gdy zostałam zaproszona na Międzynarodowy Festiwal Jazzowy Jazz Jamboree 2009. Koncert pod tytułem „Jacek Kaczmarski na jazzowo” odbywał się 13 grudnia w warszawskim kinie Palladium i był bardzo ważnym wydarzeniem kulturalnym, transmitowanym przez TVP. Miałam okazję wziąć w nim udział.

Potem jeszcze raz zmierzyłam się z twórczością Kaczmarskiego. Otrzymałam I nagrodę na Festiwalu Piosenek Jacka Kaczmarskiego „Źródło wciąż bije”.

Powiem nieskromnie, że kilka nagród udało mi się już zdobyć. Mam na swoim koncie II miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Wokalnym „Piosenka jest dobra na wszystko”, II miejsce w Mazowieckim Przeglądzie Piosenki Kabaretowej im. Jeremiego Przybory, II miejsce w I Przeglądzie Piosenki Balladowej, Piosenki Aktorskiej i Poezji Śpiewanej „Mazowiecka Ballada w ADA”. W roku 2014 otrzymałam III nagrodę w Międzynarodowym Konkursie NIEMEN NON STOP.

W latach 2012 i 2013 współpracowałam z Filharmonią Narodową, z którą realizowałam wokalny projekt muzyczny „Poranki Jazzowe”. Współpracowałam również z warszawskim teatrem RAMPA. Przez wiele lat grałam na skrzypcach z Orkiestrą Kameralną „Divertimento”, z którą koncertowałam w kraju,



fot. Magdalena Jezierska

ale także we Włoszech i w Kanadzie. Trochę się tego nabierało.

Bardzo dużo pracuję. Na uczelni w Berlinie spędzam po dwanaście, trzynaście, czternaście godzin dziennie i nie jest to czas spędzany na wykładach, zajęciach obowiązkowych, tylko czas poświęcony samodzielnej pracy, ćwiczeniom. Mimo to, zawsze towarzyszy mi taka myśl z tyłu głowy, że czegoś jeszcze nie zrobiłam.

Teraz razem z wielkimi muzykami jazzowymi, kontrabasistą z Kalifornii profesorem Gregiem Cohenem i duńskim gitarzystą Mortenem Duun Aarupem, pracujemy nad bardzo interesującym projektem. Jest to moja aranżacja dwóch polskich piosenek Agnieszki Osieckiej *Dookoła noc się stała* i *Nie mów nic* z filmu „Nóż w wodzie” z muzyką Krzysztofa Komedy.

...nadal  
szukam stylu  
dla siebie



# Dzień kobiet



Czas tak goni, że nim się obejrzelśmy, przyszedł ten szczególny marcowy dzień, w którym kobiety w pięćdziesięciu sześciu krajach świata obchodziły swoje święto.

Tak jak w ubiegłym roku, również i w tym zostaliśmy zaproszeni na Dzień Kobiet do Wólki Kosowskiej, który organizują panie ze Stowarzyszenia Chinek w Polsce. Przyznać musimy, że nie pogadaliśmy, bo język chiński jest nam obcy, ale ponieważ językiem wszystkich narodów jest muzyka, taniec i śpiew, musimy stwierdzić, że w chińskiej restauracji XingLong wszyscy bawili się świetnie. Tym bardziej, że panie były wraz z rodzinami, a organizatorzy zadbali o wykwintne i smaczne chińskie potrawy.

Między stołami, taka to już pewnie tradycja tych spotkań, krążyły panie, które w szklanych kloszach miały losy i kto wybrał szczęśliwy, otrzymywał nagrodę. Były występy taneczne i popisy wokalne nagradzane życzliwymi owacjami.

Przy wyjściu każda z pań na pożegnanie otrzymywała tradycyjny kwiatek.

Warto przypomnieć, że pierwszy Dzień Kobiet obchodzony był 28 lutego 1909 roku w Stanach Zjednoczonych, a został ustanowiony przez Socjalistyczną Partię Ameryki, po zamieszkach i strajkach w Nowym Jorku.

Podobno pierwowzorem Dnia Kobiet były obchodzone w pierwszym tygodniu marca w starożytnym Rzymie Matronalia. Święto związane z początkiem nowego roku, macierzyństwem i płodnością. Z jego okazji mężowie obdarowywali swoje żony prezentami i spełniali ich życzenia.

I niech tak zostanie. ■



# Utani z Wilczej Góry



fot. z archiwum prywatnego państwa Szulborskich

Na ogół w życiu bywa tak, że ojciec jest przykładem dla syna, a syn idzie w ślady ojca. W tym wypadku było odwrotnie. Gdy pan Paweł Szulborski zobaczył swojego Tomasza na koniu w mundurze kawalerzysty, gdy przekonał się, co syn potrafi, postanowił pójść w jego ślady.

Państwo Teresa i Paweł Szulborscy mieszkają w Wilczej Górze. Ich rodzinne strony to okolice Ostrowi Mazowieckiej. Pan Paweł urodził się we wsi Gołębie, a pani Teresa we wsi Leśniewek, w gminie Szulborze Wielkie. Poznali się na wiejskiej zabawie.

– Kiedyś młodzi poznawali się tylko na zabawie. To były czasy – mówi pan Paweł ze śmiechem.

– Zapoznała nas na zabawie dziewczyna mojego brata, bo oni z Pawłem mieszkali prawie po sąsiedzku – uściśla pani Teresa i szybko przechodzi do sedna. – Coś między nami jakoś tak zaiskrzyło i zaczęliśmy sobie towarzyszyć. Skończyło się tak, że zabrał mnie do Warszawy, bo wtedy w stolicy pracował, i w tym roku będziemy już czterdzieści lat po ślubie. Ot, wszystko.

Najpierw mieszkaliśmy w Ursusie. Mąż był operatorem koparki. Potem siedemnaście lat mieszkaliśmy w Piasecznie, a następnie wybudowaliśmy dom w Wilczej Górze.

Przez dziesięć lat pan Paweł pracował na kontraktach w Libii i Iraku, a potem zaczął prowadzić własną działalność gospodarczą w branży budowlanej.

## Spotkanie z kawalerią

– Jak człowiek jest z gospodarstwa, to wiadomo, że miał do czynienia z końmi – mówi pan Paweł. – Mieli je moi rodzice i rodzice Teresy, ale gdy wyszliśmy z gospodarki, kontakt z końmi się skończył.

– Zaczął się na nowo, gdy pojechaliśmy na konsekrację kościoła do Leśniewka. Nasz syn Tomek miał wtedy trzynaście lat. W uroczystościach brał udział konny oddział ułanów – wspomina pani Teresa. – Gdy zobaczyłam te konie, usłyszałam stukot kopyt, to echo, które niosło się po kościele, nie mogłam z wrażenia ochłonąć. Byłam tak zauroczona, że ciągle o tym opowiadałam. W końcu mój ojciec powiedział: „Jak chcecie, to ja pojedę do księdza. Porozmawiam i Tomka na naukę jazdy zapiszę”. I tak się zaczęło.

Dlaczego do księdza? Bo to był ksiądz, który jako mały chłopak marzył o kawalerii. Ponieważ nie było mu dane służyć w polskiej konnicy, a jego ojciec walczył w kawalerii w 1939 roku, gdy został kapłanem, postanowił zrealizować swoje marzenia. Kupił konia



z rzędem, mundur, rogatywkę, buty z ostrogami, proporczyk i lancę. Wszystko, co potrzebne ułanowi. O tradycjach ułańskich opowiadał w swoich kazaniach.

Zawiózł dziadek Tomka do księdza Andrzeja Dmochowskiego, porozmawiali i ksiądz uczył go jeździć konno. Najpierw syn jeździł na ciężkim koniu dziadka, a potem kupiliśmy mu konia kawalerskiego. Wtedy mąż złapał bakcyła i też zaczął jeździć konno.

Pozazdrościł synowi do tego stopnia, że nie tylko zaczął jeździć konno, ale z czasem stał się hodowcą koni. W roku dwutysięcznym wybudował w Wilczej Górze stajnię i hotel dla koni. W tej chwili ma pięć swoich koni, a hotelem zajmuje się syn. Sam preferuje jazdę zaprzęgami, ale tylko dla własnej przyjemności.

To jednak jeszcze nie koniec nowej pasji. Pan Paweł w 1996 roku, tak jak jego syn, stał się kawalerzystą kawalerii ochotniczej, pasjonatem historii ożywionej i grup rekonstrukcyjnych. Członkowie tych grup odtwarzają w oryginalnych strojach konkretne wydarzenia z przeszłości.

Pan Paweł kultywuje tradycje ułańskie, a w swojej kawalerskiej formacji, w 10 Pułku Ułanów Litewskich, pełni rolę sygnalisty.

– W mojej okolicy, w rejonie, z którego pochodzę, mężczyźni przeważnie służyli właśnie w 10 Pułku Ułanów Litewskich, który przed wojną stacjonował w okolicach Białegostoku, i w 9 Pułku Strzelców Konnych, który stacjonował w Grajewie. Dlatego mam barwy, jak ułani tego pułku.





### Ułan Tomasz

Początki konnej jazdy pan Tomasz wspomina tak:

– Gdy ksiądz Andrzej Dmochowski przybył do Zaręb Kościelnych jako wikary, postanowił kultywować kawaleryjskie tradycje. Zaczął uczyć jazdy konnej miejscowych rolników, którzy mieli konie. Tak mi się to podobało, że też chciałem się uczyć. Dziadek Eugeniusz miał konia pociągowego, zimnokrwistego. Tata kupił siodło i na tym koniu ksiądz Andrzej uczył mnie podstaw konnej jazdy. Potem uczyłem się sam.

Gdy już opanowałem jazdę i zaczęliśmy myśleć poważnie o kawalerii, kupił tata konia gorącokrwistego i na nim zacząłem doskonalić jazdę, bo po samodzielnej nauce zostało mi kilka niepotrzebnych nawyków. Kupił też tata profesjonalny rząd wzorowany na przedwojennych kawaleryjskich wzorach i zaczęliśmy obaj jeździć. Ksiądz Andrzej pogłębiał w nas wiedzę jeździecką i historyczną, uczył władania białą bronią – szablą i lancą. Zaczęliśmy jeździć na pokazy i defilady. Ponieważ było nas dwóch, mieliśmy łatwiej, bo mogliśmy ćwiczyć ze sobą.

Z czasem zaczęliśmy uczestniczyć w coraz poważniejszych rekonstrukcjach historycznych i coraz poważniejszych wydarzeniach.

Gdy WKS Legia tworzył z ochotników i jeźdźców sportowych Szwadron Jazdy Rzeczypospolitej Polskiej, bardzo się w to zaangażowałem. Razem z kolegą z Zaręb Kościelnych braliśmy udział w pokazach i uczyliśmy ułanów amatorów władania białą bronią.

Kupiliśmy wtedy z tatą kolejną klacz, która jest u nas do dziś. Ma dwadzieścia cztery lata i jest na emeryturze. Jeździmy z nią tylko na spacerki, bo nasze konie mają u nas dożywocie.

Obaj z ojcem należymy do stowarzyszenia kawaleryjskiego i bierzemy udział w różnego rodzaju pokazach i zawodach kawaleryjskich. Są takie zawody „Military”, które zaczął organizować jeszcze ksiądz Andrzej Dmochowski. Punktowane jest w nich ujeżdżanie konia, skoki, władanie szablą i lancą. Bierzemy w tych zawodach udział i zdobywamy puchary. Są wśród nich puchary zdobyte na Mistrzostwach Polski Formacji Kawaleryjskich.



### Pielgrzymki

Obaj panowie, ojciec i syn, uczestniczą od lat w barwach swojego pułku w pielgrzymkach konnych z Zaręb Kościelnych przez ziemię mazowiecką na Jasną Górę i z Dęblina przez ziemię podlaską do Kodnia. Wiozą swoje konie z Wilczej Góry na miejsce zbiórki w Zarębach Kościelnych lub w Dęblinie i stamtąd pod sztandarami 10 Pułku Ułanów Litewskich ruszają wraz z kawalerią w trasę. Do Częstochowy mają 400 kilometrów, do Kodnia – 350.

Na Jasnej Górze byli już dwanaście razy. W Kodniu cztery. Gdy w niedzielę mają postój, przyjeżdżają z prowiantem żony, rodziny i razem spędzają czas. Ponieważ grono kawalerzystów z rodziny Szulborskich bardzo się rozrosło, bo po panu Pawle i jego synu, ułanami zostali dwaj szwagrowie pani Teresy, brat i ojciec, który z lancą w dłoni maszeruje w plutonie pieszym, postój jest okazją do rodzinnego spotkania.

Zajrzeliśmy do kroniki kilku pielgrzymek na Jasną Górę.

**...na Jasnej Górze byliśmy już dwanaście razy**

### IV Konna Pielgrzymka

„Po jedenastu dniach jazdy w siodle, na Jasną Górę dotarła trzecia konna pielgrzymka kawalerzystów. Prawie czterdziestu ułanów przybyło z Zaręb Kościelnych w powiecie Ostrów Mazowiecki.

Witam was, kochani ułani, żołnierze, sympatycy kawalerii. Ze czcią chyłę kapłańskie czoło przed sztandarem 10 Pułku Ułanów Litewskich, na którym jest wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej – mówił do przybyłych na plac jasnogórski o. Eustachy Rakoczy. – Mówicie: „jeszcze Polska nie zginęła”. Na koniu jedziecie z modlitwą do Bogurodzicy Dziewicy jak wasi praojcowie”.

### V Konna Pielgrzymka

„W ostatnim dniu przemarszu, na wjazd do Częstochowy ułani założyli wojskowe, galowe mundury kawalerii II Rzeczypospolitej i oporządzenie wierzchowców... Ludzie coraz bardziej „dorastają” do tego pielgrzymowania. Mają świadomość, że w tych proporcach, mundurach wiozą tysiącletnią tradycję naszego państwa. Bo kawaleria wyrosła z armii zaciężnej, z husarii, spod Wiednia, spod Samosierry. To nie jest nasz wymysł. Tu jest ukryty cały okres dziejów Polski zawarty w haśle: „Bóg – Honor – Ojczyzna”. Pod wizerunkiem Matki Bożej z Ostrej Bramy, widniejącym na naszym sztandarze, zmierzamy do Matki Bożej Częstochowskiej”.



**...w Bazylice Świętego Piotra zagrałem sygnał Wojska Polskiego**

### VII Konna Pielgrzymka

W piątek 07.07.2006 roku na Apelu Jasnogórskim przed obrazem Matki Boskiej Hetmanki Jazdy Polskiej ks. Andrzej Dmochowski złożył meldunek:

„Najświętsza Maryja Panno, Hetmanko Żołnierza Polskiego. Stajemy przed Twoim tronem w miejscu, gdzie meldowali się królowie, hetmani i wielcy wodzowie. Stajemy jako ich przodkowie. Stajemy, aby podziękować Ci za trud pielgrzymowania przed Twoje Najświętsze Oblicze. – VII Konna melduje się dzisiaj pod wałami Jasnej Góry!

Ze sztandarem 10 Pułku Ułanów Litewskich przemierzaliśmy nasze wioski, miasteczka, pola z modlitwą w sercu i na ustach, z wiarą, że konie swoimi śladami podków, które zostały im przybite przed wymarszem do kopyt, przykrywały ślady koni naszych praojców, którzy przemierzali naszą ojczyznę wzdłuż i wszerz, aby strzec jej granic. Przemierzali z hasłem na ustach „Bóg, Honor i Ojczyzna”. I my pielgrzymowaliśmy z tymi trzema najświętszymi słowami każdemu Polakowi na ziemi”.



**Sygnalista**

– Kiedyś, jako mały chłopak, coś tam na trąbce grałem. Sięgnąłem po nią znowu, gdy zostałem kawalerzystą, i zaczęliśmy uczestniczyć w pielgrzymkach – mówi pan Paweł. – Ponieważ za młodu grałem, podszkoliłem się trochę i zostałem w pułku sygnalistą, który nie rozstaje się z trąbką. Na pielgrzymce trzeba rano zagrać pobudkę, na noc capstrzyk. Podczas mszy polowych na trąbce wygrywa się komendy „baczość”, „spocznij” i inne.

– Mąż też jako sygnalista jest zapraszany na różne uroczystości, bo sygnalistów w kawalerii jest niewiele. Jeździ i w czynnie społecznym gra – dodaje żona.

– Jest jeszcze jedna ważna rzecz – mówi pan Paweł. – Trębacz, sygnalista, zgodnie z tradycją jeździ na siwym koniu. Ten, którego mam tu na zdjęciach, był ze mną na dziesięciu pielgrzymkach. Chowałem go od małego. Jak był trzylatkiem, zacząłem go szkolić. Gdy padł, miał dwadzieścia cztery lata. To był porządny koń. Umiał się położyć, nie bał się wystrzałów i był bardzo spokojny. Teraz też mam siwka własnego chowu. Jak jest orkiestra w kawalerii, to wszyscy jadą na siwkach. Trębacz jedzie zawsze przy dowódcy. Dopiero za nim jedzie poczet sztandarowy.

Jednego grania nie zapomnę do końca życia. Drugiego kwietnia 2005 roku jako kawalerzyści 10 Pułku Ułanów Litewskich z Zaręb Kościelnych byliśmy na zaplanowanej od dawna wycieczce do Rzymu. W programie wycieczki była audiencja u Jana Pawła II i wtedy dotarła do nas wiadomość o śmierci papieża.

Raz jeden grałem dla papieża i tego do końca życia nie zapomnę. W Bazylice Świętego Piotra zagrałem sygnał Wojska Polskiego. Dziesięć metrów ode mnie stała na katafalku trumna z ciałem Ojca Świętego. Nie mogłem spojrzeć w tamtą stronę, bo bym nie zagrał. Nie dałbym rady ze wzruszenia.

Szliśmy w galowych mundurach i w butach z ostrogami przez bazylikę, a ona jest bardzo długa i wysoka. Echo niesło tak dźwięk ostróg, że aż ciarki po plecach chodziły. Zrobiliśmy w lewo zwrot przy trumnie, sztandar pułku został pochylony i zagrałem.

Stałem dziesięć metrów od trumny. Granie na trąbce przy takim wzruszeniu to nie to samo, co granie na klawiszach. To granie idzie z wnętrza. Nielatwo było opanować wzruszenie i grać. Ogromne przeżycie.



**...podszkoliłem się trochę i zostałem w pułku sygnalistą**

– Mąż trenuje na trąbce prawie codziennie. Pracę zaczyna o siódmej rano, więc jeździ wcześniej i pół godziny przed pracą, gdy załogi jeszcze nie ma, ćwiczy na trąbce. Raz przyszedł wcześniej klient, wszedł do hali, rozgląda się, nikogo nie widzi, ale słyszy, że ktoś gra na trąbce. Najpierw myślał, że pomylił miejsca, ale potem poszedł za głosem trąbki, wszedł do biura, patrzy, a to mąż ćwiczy.

– Trąbka to bardzo wymagający instrument – tłumaczy pan Paweł. – Jak chcę zachować kondycję, to muszę ćwiczyć, a w domu nie za bardzo jest kiedy, bo zawsze jest coś do zrobienia w stajniach, przy koniach.

Kiedy przyjdzie niedziela, lubię latem wziąć bryczkę, zaprząć dwa konie i pojeździć po naszych lasach. Jest gdzie jeździć i gdzie zrobić grilla. ■



fot. z archiwum prywatnego Gabrysi Kurzac



**...z emocji nie wiedziałam, jak się nazywam**

Kiedy miała dwa latka i chodziła do żłobka, opiekunka zwróciła rodzicom uwagę, że ich pociecha na placu zabaw zawsze śpiewa. Śpiewa różne piosenki, a najczęściej tę ulubioną przez dzieci *Jadą, jadą misie, tra la la la la, śmieją im się pysie, cha cha cha cha...*

– To było niesamowite – mówi mama Gabrysi. – Dwuletnie dziecko śpiewało piosenki czyściutko i z tekstem. Jak zobaczyliśmy, że jest taka chętna do śpiewania i łapie wszystko, co jest związane z muzyką, pomyśleliśmy, żeby to zainteresowanie rozwijać.

**The Voice Kids**

Gabryisia Kurzac ze Stefanowa jest uczennicą trzeciej klasy katolickiego gimnazjum w Magdalence. Nie wie, co będzie w życiu robiła, i tak naprawdę jeszcze o tym nie myśli. Dopiero co przeżyła wielką telewizyjną przygodę, jaką był udział w programie „The Voice Kids”, a kiedy ją odwiedziłyśmy, przygotowywała się do udziału w eliminacjach do Międzynarodowego Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca w Koninie.

– Brałam już udział w tym festiwalu – mówi Gabryisia i właśnie podczas ostatniego Tomasz Kammel, który go prowadził, zapowiedział, że w TVP będzie program „The Voice Kids”. Najpierw pomyślałam, że może

spróbuję, potem, że to nie dla mnie. Pan Tomek Krupa, z którym mam zajęcia w pracowni „Trele Morele Punkt Kultury” na Mokotowie, zapytał: „Co ci szkodzi pójść na casting?”. Rzeczywiście, co mi szkodzi spróbować? Poszłam na casting z koleżankami i mamą.

Przeszliśmy preeliminację, ale dalej zakwalifikowałam się tylko ja. Kto oglądał ten program wie, że składa się on z kilku etapów. Pierwszy etap to tak zwane „Przesłuchania w ciemno”. Jurorzy siedzą do nas tyłem, a my swoim wykonaniem mamy na tyle zwrócić ich uwagę, żeby odwrócili się do nas na fotelach. Wtedy spośród tych, którzy się zainteresowali wykonawcą, można sobie wybrać jednego trenera.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy miałam stanąć na scenie przed odwróconymi do mnie plecami Edytą Górniak, Tomsonem i Baronem oraz Dawidem Kwiatkowskim. Pomyślałam: „Kurczę, czy to się dzieje naprawdę? Czy to ja tu jestem, czy może jednak nie?”.



– Dziwna jest reakcja ludzi na kogoś, kto pokazał się na ekranie telewizji. Gdy byłam w szpitalu wszyscy pytali mnie, jak było, co się stało. Nawet ci, których od roku nie interesowało moje życie. Teraz było podobnie. „Gabrysia, widziałem cię w telewizji, w „The Voice Kids”. Co tam u ciebie?”



sach, i barokowe peruki. Twarze pomalowane na białą, czerwone pułki, rzęsy. Wszystko pasuje do piosenki. Cieszę się, bo to też jest takie aktorskie zadanie i można się wykazać.

Lubię śpiewać w grupie. Lubię mój zespół i miło się nam śpiewa i nawet jak komuś nie wyjdzie, to nie robimy z tego tragedii, tylko się śmiejemy.

### Muzykalna rodzina

– Moja rodzina jest bardzo muzykalna. Mama gra na gitarze, ja skończyłam szkołę muzyczną na skrzypcach, brat Szymon gra na klarnecie, a siostra Natalia na bębnie.

– Gabrysia też gra na gitarze – uzupełnia mama. – Gdy miałam czas, to przez kilka lat w parafii w Magdalenie prowadziliśmy śpiew na mszy dla dzieci. Później szukaliśmy dla Gabrysi jakiejś formy rozwoju talentu i gdy miała niecałe 4 lata trafiła do zespołu Fasolinki. Była tam może przez dwa albo trzy lata, a potem była szkoła muzyczna. Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie. Ponieważ widziałam, że dzieciaki są muzyczne, pomyślałam, że trzeba dać im szansę, i zaproponowałam szkołę muzyczną. To nie było, broń Boże, realizowanie moich pasji i marzeń. Mnie się życie tak szczęśliwie ułożyło, że wspólnie dzielimy pasję. Gabrysia się dostała, Szymon też. Chodzili do szkoły muzycznej we Włochach na ulicy Globusowej.

– Czasami były takie chwile kryzysu, że mówiłam: „Nie, mamo, kończymy. Już nie”. Ale kiedy byłam już na piątym roku z sześcioletniej, to mama mówiła: „Nie, kochanie. Nie teraz. Jeszcze tylko rok i koniec”. Mieszkaliśmy wtedy już w Stefanowie, chodziłam do szkoły podstawowej w Łazach. Stąd jeździłam na Globusową.

– Myślę, że od początku miałam do nauki muzyki zdrowe podejście – mówi mama. – Gabrysia w szkole trafiła szczęśliwie czy nieszczęśliwie, ciężko to rozstrzygnąć, do pani, która kształciła się w konserwatorium na Wschodzie, gdzie pewnie bili dzieci smyczkiem po

kostkach. Kiedy zobaczyłam, że Gabrysia chętniej śpiewa, niż ćwiczy na skrzypcach, a pani stara się wymóc na nas, żeby Gabrysia ileś godzin dziennie ćwiczyła, rzuciła edukację podstawową i zajęła się tylko skrzypcami, odbyliśmy rozmowę.

„Jeżeli Gabrysia ma być według pani wirtuozem skrzypiec, proszę mi powiedzieć, wtedy będziemy cisnąć. A jeżeli nie, to niech pani nie zniechęca jej do muzykowania”. Negocjacje były długie i jakoś się udało. Udało do tego stopnia, że raz w szkole muzycznej był taki przypadek, że pani wyszła już po egzaminie do nas i śmiejąc się, powiedziała: „No, Gabrysiu, dostajesz trójkę za to, że od początku do końca wymyśliłaś utwór” (śmiech).

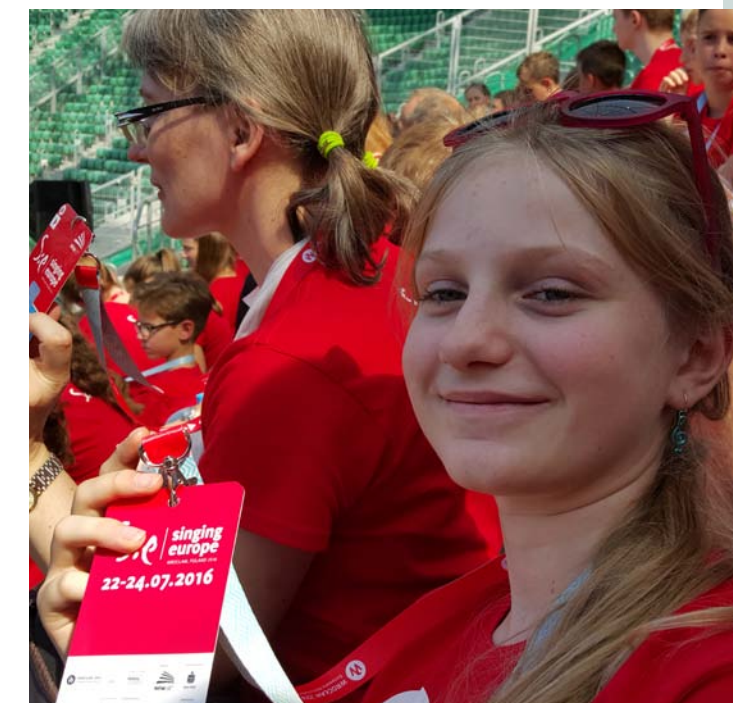
– Nie miałam czasu, żeby się tych kilku utworów nauczyć – tłumaczy Gabrysia. – Pamiętałam akompaniament i pod to grałam. Kilka razy się machnęłam, ale jakoś się udało.

Szkołę muzyczną skończyłam dwa lata temu. Teraz śpiewam, ale czasami zastanawiam się, czy nie pójść dalej, do szkoły muzycznej II stopnia.

### Teatr Buffo

– Przy tetrze Buffo działa studio artystyczne dla dzieci i młodzieży METRO, gdzie powadzone są zajęcia taneczne, aktorskie i wokalne. W połowie szkoły muzycznej, w weekendy zaczęłam chodzić do Buffo. Chodziłam tam na zajęcia i pani wytypowała mnie, na casting do roli Wendy w przedstawieniu „Piotruś Pan”. Tak naprawdę zaciągnęła mnie na ten casting. To był pierwszy casting przed premierowym wznowieniem przedstawienia po piętnastu latach.

Rezultat był taki, że pod koniec szóstej klasy śpiewałam w przedstawieniu „Piotruś Pan” w reżyserii Janusza Józefowicza. Premiera przedstawienia odbyła się w moje dwunaste urodziny. Grałam jeszcze przez sezon, a potem... już się nie mieściłam w scenografii.



Gdy zespół zaczął grać, z emocji nie wiedziałam, jak się nazywam. W głowie kotłowanina myśli i pustka. Jakie słowa, jaka melodia, co ja mam śpiewać? Strach.

Kiedy zaczęłam śpiewać, to najpierw odwróciła się Edyta, a potem Dawid. I znowu problem. Kogo wybrać jako trenera? Wybrałam Edytę. Potem razem z innymi dziećmi – w grupie trenerskiej było nas osiemnastu – byliśmy w stadninie i nagrywaliśmy kolejny etap programu.

Poznałam wszystkich członków drużyny Edyty i było fajnie. Mieliśmy kilka zabaw, które wylaniały trzyosobowe zespoły do drugiego etapu konkursu, czyli do „Bitwy”.

Od razu czułam, że będę w ostatniej „Bitwie”, bo znam swoje szczęście. I tak było. Były próby z Edytą i trenerami wokalnymi, a potem przyszła długo wyczekiwana „Bitwa”. Dla mnie, niestety, nieudana i tyle. Wokalnie była ok, ale wizualnie nie. Moje miny były złe. Nawet ktoś mi zwrócił uwagę, że chyba naprawdę w siebie nie wierzyłam, bo robiłam takie miny, że to aż pojęcie przechodzi. W szkole pani Ewa, moja wychowawczyni, powiedziała, że się tak krzywiłam, aż ją twarz bolała (śmiech).

Tak naprawdę, gdy poznałam na wspólnych treningach moje bitewne rywalki, to bałam się z nimi wystąpić. Przeczuwałam, że Roksana zajdzie naprawdę daleko, bo ma kawał głosu. Mam satysfakcję, bo się nie pomyliłam. Roksana wygrała program, więc nie ma wstydu, że przegrałam z najlepszą (śmiech). Bardzo za nią trzymałam kciuki.

A spotkanie z Edytą? Było mega. Zawsze chciałam ją poznać. Zabroniła nam do siebie mówić Edyta, bo czuje się stara. Kazała nam do siebie mówić Edi.

– Długo rozmawialiśmy z Gabrysią, żeby do tego programu, ale też do innych prostych, malutkich

konkursów na wioseczkach podchodziła tak, aby to była dla niej zabawa – mówi pani Urszula, mama Gabrysi. – Dla niej i dla słuchaczy to ma być przyjemność, że ona stanie na scenie i zaśpiewa. Nigdy nie starałam się wzbudzać w niej chęci rywalizacji za wszelką cenę. A były tam dzieci, dla których przegrana była wielkim przeżyciem. Czuli, że spadły z wysokiego stołka, gdy odpadły. Zawsze starałam się mądrze do tego podchodzić i nie widziałam jej na szczęście płaczącej nocami, przeżywającej, że odpadła z programu, że się nie powiodło. Ona się cieszyła, że w ogóle miała taką szansę, że mogła wystąpić i zobaczyć się w telewizji.

– Za pierwszym razem podobałam się sobie, za drugim nie – przyznaje Gabrysia. – Ja nie za bardzo lubię różowy kolor, a ubrali mnie całą na różowo. Głupio się w tym różowym czułam, ale trudno. Musiałam wyjść na scenę i zaśpiewać. Większość mojej klasy mi gratulowała, ale znalazł się też mój kochany kolega, który wszystko krytykuje. Jednak to zabawne.

Ksiądz Łukasz Czubła, który uczy mnie w szkole, nachylił się nade mną, gdy pisałam klasówkę i powiedział: „Gabrysia, widziałem cię w telewizji. Gratuluję, *When We Were Young* to już moja ulubiona piosenka”.

### Przed i po

– Teraz przede mną Konin – mówi Gabrysia.

– Eliminacje do kolejnego Międzynarodowego Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca. Wjadę na scenę na telewizorze i będę śpiewała piosenkę „Gwiazdą być”.

Jedziemy do Konina całą grupą pracowni „Trele Morele Punkt Kultury”. Występujemy w duetach i w zespole. To dopiero pierwsze eliminacje, a rozstrzygnięcie będzie w czerwcu. Na tym etapie, śpiewa się już z orkiestrą.

Nasze stroje będą barokowe. Czarne rajstopy, czarne body, halki pod suknie, takie jakie były w dawnych cza-



To była bardzo ciężka praca. Trzeba było dużo od siebie wymagać, żeby wszystko zapamiętać, pilnować się, nie robić hałasu podczas przedstawienia.

Pierwsze próby były fajne, ale były też takie próby na scenie, że na przykład pan Józefowicz poprawiał z 50 razy chłopaka, który nie potrafił czegoś wyartykułować. Mówił, że nie wiemy o czym śpiewamy, albo nie wiemy, o czym mówimy. Nie było ani łatwo, ani lekko. Traktował nas jak dorosłych. Był bardzo wymagający, ale ja dobrze wspominam Buffo.

– Czasami Gabrysia grała rano, a wieczorem grała koleżanka, ale bywało, że grała cały dzień. Były też przedstawienia w weekendy i wtedy mogła przychodzić dorosła publiczność, a nie tylko wycieczki ze szkół, które wypełniały całą widownię – mówi mama.

– Na rynku wszyscy wiedzą, że jak ktoś przetrwał i wytrzymał z Józefowiczem, to już wszędzie będzie miał lżej – mówi mama.

– Ale za to teraz, gdziekolwiek pójde, jak powiem, że grałam w Buffo, to od razu: „Chodź, chodź, chodź...”. Wszyscy chcą mnie wziąć – śmieje się Gabrysia.

### Trele Morele

– Kiedy skończyło się Buffo, mama znalazła interesujące ogłoszenie. Pojechaliśmy na Mokotów, aby zobaczyć miejsce, które nazywa się Trele Morele Punkt Kultury. Tam zaczęły się moje zajęcia z założycielem



tego miejsca, Tomkiem Krupą. Człowiekiem, który od lat rozwija swoją pasję pedagogiczną, pracując jako nauczyciel śpiewu z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi. Współpracował z wieloma artystami polskiej sceny, między innymi Krystyną Prońko, Justyną Steczkowską, Nataszą Urbańską, Grażyną Łobaszewską i innymi.

Na początku wydawał mi się straszny i wielki, ale spodobał mi się z charakteru, był fajny. To on zaczął mnie wysyłać na konkursy.

– Gabrysiu na konkursy zaczęłaś jeździć wcześniej – przypomina mama. – Zapomniałaś o chyba najważniejszej osobie na ścieżce twojego rozwoju muzycznego, pani Oliwii Kaczyńskiej, nauczycielce muzyki, która uczyła cię w szkole w Łazach. To kobieta, która ma w sobie wiele pasji i miłości do muzyki. Gdy jakiś czas temu były organizowane w Magdalence i Raszynie koncerty świąteczno-noworoczne pani Oliwia zaprosiła Gabrysię, by zaśpiewała jedną piosenkę solo. Tak ujęła wszystkich podczas koncertu, że w kolejnym roku była solistką.

– Pierwszy konkurs miałam w drugiej klasie podstawówki. Jeszcze wtedy mieszkałam w Warszawie. Pani od muzyki wysłała mnie na Asteriadę. Asteriada to Mazowiecki Festiwal Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Artystycznej. Miałam śpiewać piosenkę i trochę się wygłupiać. Śpiewałam o jakichś przebraniach, kostiumach i zamiast się wygłupiać, stałam cały czas wpatrzona w podłogę. Tak się bałam.

– Potem znalazła informację, że w Grójcu jest co roku organizowany ogólnopolski Festiwal Pieśni Sakralnej. Pomyślałam, że możemy pojechać i zobaczyć, bo to blisko – mówi mama.

– Mama cały czas śpiewała w kościele, stąd zainteresowanie festiwalem – wtrąca Gabrysia.

– Tak, w tym repertuarze byłam na bieżąco, więc najłatwiej było coś przygotować. Nie myślałyśmy wtedy jeszcze o tym, żeby Gabrysia brała udział w konkursach, bo nie miałam świadomości jej możliwości. Jak się ma dziecko na co dzień w domu, to nie zauważa się, że rośnie, i nie zauważa, że ma taki głos. Gabrysia zaśpiewała i zajęła pierwsze miejsce w swojej kategorii.

...trzeba słuchać  
swoich dzieci  
i z nimi rozmawiać



### Menadżer

– Mama to jest mój menadżer – mówi ze śmiechem Gabrysia. – Ona o wszystkim myśli.

– Tak wcale nie jest – broni się pani Urszula. – Ja po prostu wychodzę z założenia, że trzeba słuchać swoich dzieci i z nimi rozmawiać. Patrzeć, czym się interesują. Miałam ten komfort, że przez kilka lat pracowałam w domu i miałam czas dla dzieci. Kiedy widziałam, że syn szuka i nie potrafi znaleźć lektury, która by go zainteresowała, która zachęciłaby go do czytania, to podsuwałam mu różne rzeczy i obserwowałam. Jeśli nie taka książka, to może jakiś komiks z Tytusem, Romkiem i Atomkiem, może Pan Samochodzik... Trzeba dziecku coś poddawać. Nie czuję się menadżerem. Daję pewne możliwości i do niczego nie zmuszam.

– Dajesz mi pewne szanse, żebym mogła później zrobić to, co bym robić chciała, dodaje Gabrysia.

– Rolą rodziców jest też chronienie dziecka, zwłaszcza w świecie show biznesu. To świat dość bezwzględny. Zawsze traktowałam śpiew jako przyjemność i posługę.



Ja uważam, że sensem śpiewania powinna być zabawa a nie rywalizacja. Pokazałam kiedyś Gabrysi cel śpiewania. Podszedł do nas w Grójcu pewien pan i mówi: „Gabrysia, ja cię pamiętam z ubiegłego roku. Czekałem na twój występ”. To jest sens śpiewania. Talent to jest jedno, ale żeby coś z tym talentem zrobić, potrzebna jest jeszcze praca.

– Dzięki mamie zrozumiałam, że nawet jeśli przegrałam, to zaśpiewałam i jestem z siebie dumna, więc wygrałam. A, że tak jest, niech świadczy fakt, że do mojej szkoły przyjechał pan Jacek Bulak, dyrektor Zespołu Obsługi Placówek Oświatowych w Lesznowloli, i oficjalnie na zakończenie roku wręczył mi stypendium z dyplomem, żebym mogła się dalej rozwijać. ■

– Co roku jeździliśmy z bliźniakami pod namiot. Samochód był całkowicie załadowany. Namiot, śpiwory, lodówka i wiele innych rzeczy. Jak już nic nie można było wepchnąć, wychodził z domu Tobiasz. Miał cztery wędki, duży plecak i jedną wielką skrzynkę, w której trzymał muchy, imadło i sprzęt do kręcenia much...

fot. z archiwum prywatnego Tobiasza Glinki



*...kiedy zaczął przygodę z wędkowaniem, miał trzy, może cztery latka*

Tobiasz, w odróżnieniu od brata, należał do dzieci, które na miejscu mogły usiedzieć najwyżej dziesięć minut. Gdy oglądał w telewizji ulubioną bajkę o Kreciku, co chwilę zrywał się i biegał po pokoju. Miał, jak mówią rodzice, typowe objawy ADHD. Wszędzie go było pełno i z tego powodu miał wiele problemów.

Dziś Tobiasz Glinka chodzi do drugiej klasy liceum o profilu matematyczno-fizycznym na Chyliczkowskiej, a okres ADHD on i rodzice wspominają jak odległą przeszłość.

### Na ryby

– Gdy był małym dzieckiem, łamał obojczyki, nogi, został prawie przecięty myjką ciśnieniową, pod którą wyskoczył, żeby się popluskać. Do słonej wody Morza Martwego skoczył w nieszczelnych okularach, żeby ponurkować. Jak niosłem Tobiasza dwadzieścia metrów pod prysznic, żeby go oplukać, to ludzie nie wierzyli, że dziecko może tak krzyknąć. Naprawdę miał ADHD.

– Chciałem syna trochę wyciszyć – mówi pan Piotr, tata Tobiasza. – Zabrałem go na ryby, dałem do ręki wędkę i Tobiasza nie było. Takie były początki. Kiedy Tobiasz zaczął przygodę z wędkowaniem, miał trzy, może cztery latka. On łowił, a ja rozplątywałem żyłki.

Mieliśmy dwie wędki. Jedna była w gotowości, na drugą łowił Tobiasz. Po pięciu minutach ja rozplątywałem żyłkę na wędce Tobiasza, a on łowił drugą. Machał wędziskiem tak, że mamę za włosy złapał.

– Złapałem też kilka kaczek, łabędzia, mewę w porcie i żółwia błotnego w stawie w Mysiadle. Według wędkarzy w tym stawie jest tylko jeden żółw i akurat na mnie trafił. Biegałem od wędkarza do wędkarza i prosiłem o drugie kombinerki, bo tymi, które miałem, nie byłem w stanie niczego zrobić. W końcu się udało. Odczepiłem żółwia i wypuściłem do stawu – opowiada Tobiasz.

– Tobiasz jest wędkarzem, który łowi i wypuszcza. Ryb nigdy nie bierze.



Dla niego samą przyjemnością jest łowienie – uzupełnia tata.

– Zaczęło się tak, jak mówił tata. Najpierw od spławika, potem na grunt, następnie przeszedłem na spinning. Poznałem kolegę i razem łowiliśmy na spinning. Potem strasznie się podjaraliśmy łowieniem na sztuczną muchę.

Wędkarstwo muchowe pochłonęło Tobiasza do tego stopnia, że nad przygotowaniem przynęty potrafi spędzać po kilka godzin dziennie. Potrafi także o tym wędkarstwie opowiadać.

– W Decathlonie kupiłem zestaw muchowy i najpierw wędkarstwem muchowym zaraziłem się ja, potem przeszło na kolegę. Postanowiłem, że sam zacznę kręcić muchy. Gdy na święta dostawałem trochę pieniędzy, kupowałem coraz to nowe materiały, coraz lepsze narzędzia i kręciłem. Nic na ten temat nie czytałem, niczego nie oglądałem. Myślałem, że sam dam radę wszystko zrobić. To, co ja robiłem przez dwie godziny, ktoś inny pewnie po przeczytaniu jak to się robi, zrobiłby w piętnaście minut, ale jakoś nie wpadłem na ten pomysł.

Po roku czy dwóch doszedłem do tego, co mam teraz – do jednych z lepszych narzędzi i materiałów. Fajne jest to, że można ten warsztat cały czas rozwijać, kupując coraz to nowe rzeczy, robiąc coraz nowsze modele. Ograniczeniem w robieniu przynęt jest chyba tylko wyobraźnia.

Po pewnym czasie zobaczyłem, że bardziej kręci mnie robienie przynęt, niż chodzenie z wędką nad wodą. Wolę spędzić nad imadłem kilka godzin, niż być nad wodą. Kolega jeździ na ryby, testuje przynęty i to jest bardzo fajna odskocznia od nauki.



...postanowiłem,  
że sam zacznę  
kręcić muchy



Wędkarstwo muchowe polega na tym, że chcemy umieścić na wodzie przynętę, która prawie nic nie waży. Nie jesteśmy w stanie zaczepić jej na żyłkę i po prostu rzucić. Potrzebujemy grubszej żyłki, tak zwanego sznura, który umożliwi rzut nie nieważącej przynęty. Praktycznie rzucamy sznurem, którego nie jesteśmy w stanie nawinać na typowy kołowrotek.

Łapanie na muchę to całkiem inna technika. Zupełnie inna budowa wędki, kołowrotka, sznura. Metoda ta stała się bardzo popularna głównie na południu Polski, gdzie są potoki, a w nich lipienie i pstrągi. Stopniowo staje się też popularna w środkowej i północnej Polsce. Ludzie odkrywają, że tą techniką można złowić każdą rybę.

Początkujących wędkarzy trochę odstrasza koszt. Kompletowanie sprzętu nie jest tanie. Jak chcemy poważnie traktować łowienie na

muchę, to nie możemy kupić sobie jednej uniwersalnej wędki i łowić nią na każdą przynętę. Wędek do wędkarstwa muchowego jest około jedenastu klas. Im wyższa klasa, tym możemy łowić na większe przynęty.

Na przynęty półcentymetrowe potrzebujemy wędki klasy 1, 2 i 3, a wędką klasy 8 i w górę będziemy mogli rzucić przynętą większą niż na przykład dziesięć centymetrów. Kij wędziska musi być dopasowany do przynęty. Na wędki mniejsze nie jesteśmy w stanie łowić szczupaków czy sandaczy. Wędkarstwo muchowe charakteryzuje się tym, że cała przynęta jest nad wodą, płynie na wodzie, ewentualnie trochę pod taflą wody. Dziś jednak tak się rozwinęło, że technika, sprzęt i rodzaje sznurów umożliwiają łowienie na każdej głębokości.

Sztuką jest rzucić. Tu nie otworzymy kabłąka kołowrotka, wykonamy zamach i przynęta daleko poleci.

Trzeba spędzić wiele godzin na podwórkowych ćwiczeniach. Samych technik rzutu jest wiele. Nie chodzi o to, żeby rzucić przynętę, tylko żeby ją odpowiednio podać. Żeby rzut nie był chlapiący, mocno uderzający o wodę, żeby nie odstraszył ryb i żeby nie splątać sznura podczas lotu.

Dlatego sam spędziłem kilkanaście godzin na podwórku, zanim nauczyłem się dobrze rzucać. Bo przecież machamy sznurem długości kilkunastu metrów, musimy go utrzymać, nie splątać i dopiero rzucić.

– Trzeba też uważać na to, co jest z tyłu, żeby sznur nie zaczepił o jakieś krzaki – dodaje tata.

– I właśnie tu się pojawiają różne techniki rzucania. Można zawijać sznur, żeby nie rzucać za siebie, tylko robić taką specjalną pętlę i wtedy sam rzut zajmuje bardzo mało miejsca.



## Przynęty

Przy małym biurku na poddaszu Tobiasz skręca kolorowe muchy. Na półkach, w szufladkach kolorowe nici, różnobarwne pióra, zestawy haczyków, flashe, różnej wielkości oczka i wiele innych elementów. Tylko on wie, do czego służą i co można z nich zrobić. Choć początki muchowego hobby wcale nie są odległe, dziś w tej dziedzinie siedemnastolatek stał się prawdziwym fachowcem.

– Wszystkie przynęty mają przypominać rybę. Ja robię przynęty szczupakowe i jigi. Nie zajmuję się przynętami typu nimfy, suche muchy. Nie będę podawał nazw przynęt, bo są ich setki. Mnie najbardziej podoba się łapanie na muchę drapieżników, dlatego robię głównie przynęty pod drapieżniki. One tak powinny

pracować w wodzie, aby przypominały zachowanie chorej ryby.

Sucha mucha leży na powierzchni wody, mokra tonie, nimfa jest pod wodą. Te moje to są streamery. One toną. Mają symulować rybę i pracować przy dnie. To, czy przynęta pracuje pod wodą czy tuż pod jej powierzchnią, jest uzależnione od sznura. Są sznury pływające, tonące, bądź obciążone ciężarkiem. Nieobciążona przynęta pracuje na boki, natomiast z obciążnikiem może pracować jak jaskółka, góra-dół.

Ja swoje muchy testuję. Nalewam wody, patrzę, jak pracują. Jak mieliśmy basen, to zamiast się kąpać, siedziałem z wędką i patrzyłem, jak to pływa. Zawsze byłem zadowolony. Mój kolega, który był zapalonym spinningistą, przeszedł na muchę

i myśli tylko o tym. Po spinning sięga tylko wtedy, kiedy są na przykład krzaki i łapanie na muchę jest niemożliwe.

Wędkarstwo muchowe polega na tym, że wchodzimy do wody i rzucamy. Zabawa nie kończy się więc na kupieniu samej wędki i przynęty. Potrzebne są wodery i cała reszta, a wszystko kosztuje.

Mam kanał na YouTube. Stwierdziłem, że hobbystycznie zacznę nagrywać filmy, może ktoś mi coś podpowie. Mam też nadzieję, że pomagam wędkarzom, którzy dopiero zaczynają. Bo skąd mają wiedzieć, jakie kupić pióra, jakich ptaków. Bażantów, kur czy kogutów? W jakiej kolorystyce, jakie materiały są potrzebne, by zrobić ogonki, stosować świecące flashe czy nie?

Robiąc przynętę, budujemy jakby jej szkielet, żeby był gruby, puszysty korpus, żeby w wodzie fajnie pracowała, a potem dekorujemy, dodając flash, malując i doklejając oczy. Na tym głównie polega budowa przynęty-muchy. Możemy też zrobić muchę z samych świecących flashy, ale to nie zawsze się sprawdza.





Gdy pierwszy raz zacząłem łowić na tego typu przynęty i zobaczyłem, jak zachowują się w wodzie, byłem naprawdę pod dużym wrażeniem.

Mój rekord połowów to ponad osiemdziesięciocentymetrowy szczupak. Kilka razy przymierzałem się, żeby pobić swój rekord, żeby przekroczyć metr. Byłem na takich jeziorach, gdzie rzeczywiście są duże ryby, ale nigdy nie wyszedłem powyżej osiemdziesięciu par centymetrów. Mój kolega, o którym wspominałem, czasem mnie irytował. Szedł gdzieś na inny staw, a ja siedziałem nad jeziorem, rzucałem dwie, trzy godziny, poznawałem wodę, widziałem, że głęboko stoją ryby, że lubią pracę takiej i takiej przynęty i... nic. A on przyszedł, wziął wędkę, rzucił i złapał ponad metrową rybę. Wtedy go przez

jeden dzień nie lubiłem, ale potem się jakoś dogadaliśmy.

Nie robię przynęt tylko dla siebie. Najpierw trafiały do mojego kolegi, potem do jego znajomych. Na stawie się kogoś spotkało, porozmawialiśmy, zobaczył, że wyniki na taką przynętę są, to spróbował połapać. Kolejna osoba przekazała je następnym. Czasem, gdy mam więcej przynęt, wystawiam je na OLX.

Moje muchy pływają w Niemczech, w Szwecji. Czasami ludzie wysyłają mi zdjęcia ryb, jakie na nie złapali. Jakiś pan wysłał mi rekordowe jazie i klenie złapane na moje przynęty. To cieszy.

Tobiasz na kanale na YT (Stream-Fly) ma ponad 100 tysięcy wyświetleń filmów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że jego filmy są adresowane do określonej grupy odbiorców, to można mu pozazdrościć.

## Latanie

Wędkarstwo to prawdziwe hobby Tobiasza, ale nikt nie powiedział, że hobby można mieć tylko jedno. Stało się tak, że Tobiasz upodobał sobie dwa środowiska i w nich próbuje realizować swoje pasje.

– Od zawsze interesowałem się tym, co pływa i lata. Od małego interesowałem się budowaniem. Pewnego dnia stwierdziłem, że kupię sobie odpowiedni sprzęt i spróbuję zrobić samolot. Naoglądałem się filmów, jak ludzie robią samoloty z tektury, więc pomyślałem, że nie będę gorszy i też dam radę. Nie dałem.

– Jego bardziej fascynowało to, żeby coś zrobić samemu – uzupełnia mama Tobiasza. – Ciągle chciał, żeby mu przynosiła jakieś kartonowe pudełka. Przynosiłam, a on je ciął i kombinował.

– Kupowałem tylko takie rzeczy, których nie mogłem zrobić sam – opowiada Tobiasz. – Po pewnym czasie okazało się, że moje samoloty nie latają. Nie umiałem nimi sterować. Nie wiedziałem, jak to ogarnąć. Kiedy się pilotuje model, liczą się bardzo szybkie reakcje. Mrugnie się i już samolot jest na ziemi. Każde rozbitcie samolotu wiązało się z kosztami, wymianą silnika, regulatorów, dokupywaniem śmigieł. To było bardzo frustrujące. Zrobiłem dziesiąty model i nie latał. Ale po którymś razie zadziałało. Mogłem polatać. Chociaż czasem mój model latał nie tam, gdzie ja chciałem, mimo wszystko latał.

Nauczyłem się operować dżojstikiem i stwierdziłem, że zrobię sobie większy samolot. Kupię dobre materiały i specjalne pianki. To był początek liceum, choć pierwsze próby były jeszcze w gimnazjum. Wszyscy mówili: „Ściągnij sobie plany samolotu, wytnij i zrobisz model”. Ale te plany, które znajdowałem, były planami ogromnych samolotów o rozpiętości ponad metr. Musiałem sam przенosić skalę. Tak zrobiłem swój pierwszy samolot i działał naprawdę bardzo fajnie. Na nim



## ...w przyszłości chciałbym pilotować samoloty pasażerskie

mogłem się już nauczyć, jak to działa, jak wychodzić z różnych niekorzystnych sytuacji.

Latanie spodobało mi się do tego stopnia, że pomyślałem o związaniu z nim swojej przyszłości. Zapisalem się na kurs pilotażu, żeby uzyskać licencję Pilota Samolotowego Turystycznego (PPL), która uprawnia do wykonywania lotów na samolotach jednosilnikowych tłokowych o maksymalnej masie startowej nieprzekraczającej 5700 kg. Chodziłem do szkoły i zdawałem jednocześnie egzaminy wewnętrzne na kursie. Zdałem najgorszy egzamin z prawa lotniczego. Zostały mi teraz tylko trzy egzaminy z dziewięciu. Myślę, że jak się zrobi cieplej, na przykład w kwietniu, zacznę już latać.

– Kurs pilotażu zaczynaliśmy razem – mówi tata Tobiasza – ale kiedy ja skończyłem kurs teoretyczny i mieliśmy przelot samolotem, stwierdziłem, że nie pasuję do pilotażu. Zrobiliśmy wtedy postanowienie: jeżeli Tobiasz zda wszystkie egzaminy teoretyczne, to sfinansujemy kurs praktyczny, który jest dosyć drogi. Musimy mieć pewność, że Tobiasz tego chce i da radę. Kurs praktyczny będzie miał na cессnie, 45 godzin do wylatania. Najpierw z instruktorem, potem samemu i egzamin.

– Mam w domu zainstalowany zestaw kontrolerów i akcesoriów lotniczych SAITEK. Zarobiłem trochę na sprzedaży much, trochę dołożyła babcia, kupiłem wolant, dokupiłem różnego rodzaju switche, kontrolki i ćwiczył pilotowanie. Cały zestaw SAITEK można rozbudowywać o kolejne elementy, dobudowując resztę kontrolerek, wskaźniki wysokości, prędkości i inne. Na ekranie monitora mam identyczny widok, jak z kabiny samolotu. W lewym monitorze odpalam sobie mapę i latam.

Bardzo lubię sobie polatać. To mnie odstresowuje. Ustalam sobie na przykład, że zrobię krąg nad lotniskiem, wyląduję, potem drugi krąg, ewentualnie polecę na jakieś drugie lotnisko.

W przyszłości chciałbym pilotować samoloty pasażerskie. Zafascynowałem się lotami cywilnymi. Od początku miałem taki plan, żeby skończyć liceum i pójść na Politechnikę Rzeszowską z myślą o pilotażu.

W tym miejscu kończymy relację ze spotkania z Tobiaszem i jego rodzicami. Przypomnimy, że jako dziecko nasz bohater miał objawy ADHD. Dziś kręci muchy, które wędrują po świecie i kończy kurs pilotażu. Mieszka z rodzicami i bratem bliźniakiem w Zgorzale. ■

# Gala Sportu 2018

**CENTRUM  
SPORTU**  
w Gminie Lesznowola



Na ten jeden dzień w roku czekają sportowcy, nauczyciele wychowania fizycznego, trenerzy i dyrektorzy szkół naszej gminy. Na ten dzień czekają też rodzice młodych sportowców, którzy przez rok kibicują swoim pociechom i zachęcają do uprawiania sportu. Tego dnia przychodzą do Centrum Sportu, by razem z nimi świętować. Uczestniczyć w podsumowaniu sukcesów roku i rozdaniu pamiątkowych statuetek.

– Gala sportu w naszej gminie jest świętem, które pragniemy zadeptykować tym, dla których sport jest wielką pasją, wielką inspiracją oraz wspaniałą alternatywą w kontekście różnych pokus, jakie niesie współczesna cywilizacja.

– Z całego serca pragnę podziękować za to, że jesteście, za wasze sportowe osiągnięcia, pogratulować sukcesów, ale też podziękować za wasze porażki. Sukces i porażka uczą pokory, szacunku i akceptacji, które są bardzo ważne w życiu każdego człowieka.

Dziękuję Wam za to, że jesteście najlepszymi ambasadorami naszej lokalnej tożsamości.

Sport i rekreacja mają w polityce samorządu naszej gminy ogromny priorytet. Dowodem na to jest nieustanny rozwój infrastruktury sportowej. Przed nami budowa kolejnych obiektów sportowych. Hali sportowej w Zamieniu i hali sportowej w Nowej Iwicznej – powiedziała, otwierając Galę Sportu 2018, wójt gminy Maria Jolanta Batycka-Wąsik.

Potem na scenę ruszyli bohaterowie wieczoru. Uczniowie ze szkół podstawowych w Lesznowoli, Łazach, Mrokowie, Mysiadle i Nowej Iwicznej oraz nauczyciele i trenerzy, którzy przyczynili się do sportowych sukcesów swoich podopiecznych. Rodzice robili pamiątkowe zdjęcia, pociechy odbierały gratulacje i ilościowe statuetki.

Podczas Gali wyróżniono mieszkańców gminy za ogromny wkład pracy w rozpowszechnianie sportu wśród dzieci i młodzieży. Nagrodę otrzymali Bogumił Pałczak – Dyrektor Szkoły w Lesznowoli oraz Dariusz Pawelec – były nauczyciel Wychowania Fizycznego ze szkoły w Nowej Iwicznej.

Nagrodzono również sportowców wśród których znaleźli się: drużyna Seniorek MUKS Krótka, Mirosław Pleskot, Tomasz Szala, Jakub Salomonowski, Julia Sztemberg, Konrad Lichowski, Piotr Grzenda, Patryk Zakrzewski, Ida Pałęcka, Piotr Osmólski, Bartosz Kucharski, Stanisław Pałęcki, Maja Cieśla, Bronisława Dąbek, Zuzanna Skład, Adrianna Fijałkowska, Aleksander Cybulski oraz Mateusz Kuśnierkiewicz.

Przyłączamy się do gratulacji i życzymy dalszych sukcesów. ■





# JAJKO na dobry początek

Niby zwykłe jajko, ale niesie w sobie ogromny ładunek symboli, wierzeń i znaczeń. Nie ma chyba kultury, która nie czciłaby jajka w swojej tradycji. Jest symbolem odradzającego się życia i początkiem istnienia. Oznaką powrotu wiosny i przezwyciężenia śmierci. Umieszczane w grobowcach egipskich dawało nadzieję powrotu do życia, w wierzeniach Słowian uznawane było za potężny amulet przeciwko złym mocom, a w symbolice judaizmu przypominało o cykliczności życia.

Jajko trafiło na płótna wielkich malarzy, opiewali go poeci i misternie wykuwali rzeźbiarze. Jego skorupki zdobili w starożytnym Egipcie, Persji i Rzymie. Kolorowymi jajkami obdarowywali się na wiosnę Chińczycy. Prości ludzie wierzyli, że stanowi warunek ciągłości świata, a dla Aleksandra III Romanowa w swej pracowni Peter Carl Fabergé tworzył najdroższe na świecie złote jajka zdobione szlachetnymi kamieniami.



Przed nami święta Wielkiej Nocy. Niezwykłe jajko trafi do plecionego koszyczka, a w niedzielny poranek pełnić będzie rolę podarunku, którym podzielimy się, życząc sobie pomyślności. Dla wszystkich miłośników smaków ukrytych w delikatnej skorupce kilka przepisów nie tylko na świąteczny stół, ale zawsze na dobry początek.

## WIOSENNA SAŁATKA Z JAJKAMI

### SKŁADNIKI

sałata strzępiasta, dwie garści roszponki, garść kielków rzodkiewki, 4 jajka ugotowane na twardo, garść szczypiorku, kilka gałązek zielonych szparagów, kilka pomidorków koktajlowych, pół zielonego ogórka, jogurt naturalny, majonez, sok z połowy cytryny, sól i pieprz

Salatę porwij na kawałki i utóż na półmisku. Dodaj roszponkę i porzruczaj na wierzch kielki rzodkiewki. Ogórka przekrój wzdłuż, a potem pokrój na grubsze plasterki i dołóż do sałaty. Pomidorki przekrój na pół, a ugotowane i obrane jajka pokrój na ćwiartki i rozłóż na wierzchu. W miseczce rozrób cztery łyżki jogurtu z łyżką majonezu i sokiem z cytryny. Dopraw solą, pieprzem i wymieszaj. Oblej sałatkę. Całość posyp drobno posiekanym szczypiorkiem.





## GRZANKI Z JAJKAMI, BOCZKIEM I SZPINAKIEM

### SKŁADNIKI (dla 4 osób)

4 kawałki dobrego chleba tostowego (mogą też być tosty z bułki), 4 jajka, 4 plasterki wędzonego boczku, dwie garści świeżego szpinaku, gałka muszkatołowa, sól i pieprz

Plasterki boczku połóż na patelni i dobrze przysmaż. Na drugiej patelni roztop łyżkę masła, przełóż umyte liście szpinaku, dopraw gałką muszkatołową i poczekaj, aż staną się miękkie. Przygotuj ciepłe grzanki. W garnku zagotuj wodę, umieść w niej łyżkę stołową tak, by woda nalała się do środka i rozbij w niej jajko (to chyba najprostszy sposób przygotowania jajka w koszulce). Poczekaj aż białko się zetnie, ale żółtko pozostanie jeszcze płynne. Teraz czas na złożenie kanapki. Ciepłą grzankę posmaruj delikatnie masłem. Połóż na niej przysmażony boczek i ciepły szpinak. Na wierzch ułóż jajko. Całość posól i popieprz.



## JAJKA FASZEROWANE ŁOSOSIEM

### SKŁADNIKI

8 jajek, opakowanie wędzonego łososia, opakowanie sera naturalnego (na przykład Piątnica), pęczek koperku, łyżka chrzanu, sól, pieprz i sok z cytryny

Jajka ugotuj na twardo. Obierz ze skorupki, przekrój na pół. Przełóż żółtka do miseczki, a białka na talerzyk. Do żółtek dołóż serek, pokrojonego w małą kostkę łososia (odłóż jeden plasterkę do udekorowania). Dodaj pół pęczka koperku, sok z połowy cytryny, łyżkę chrzanu i dobrze wymieszaj. Dopraw solą i pieprzem. Masą wypełnij połówki jajek. Odłożony plasterkę łososia pokrój w paski i rozłóż je na jajkach. Na wierzch każdego dodaj także kilka listków koperku.



## MAKARON TAGIATELLE Z JAJKIEM I SUSZONYMI POMIDORAMI

### SKŁADNIKI

makaron tagiatelle, 3 jajka, kilka suszonych pomidorów w oliwie z ziołami, listki świeżej rukoli, sól, pieprz, jedna cebulka, ząbek czosnku

Ugotuj makaron. Pokrój cebulkę na małe kawałki. Posiekaj suszone pomidory i czosnek. Przesmaż wszystko na patelni. Jajka wbij do miseczki. Dopraw solą i pieprzem. Roztrzep i dodaj na patelnię do cebulki i pomidorów. Smaż do momentu ścięcia jajek. Przełóż do makaronu i wymieszaj. Ozdób listkami świeżej rukoli.



## SMAKI DZIECIŃSTWA, CZYLI KOGEL MOGEL INACZEJ

### SKŁADNIKI

2 żółtka, dwie łyżki cukru, cukier wanilinowy lub ekstrakt z wanilii, garść dowolnych owoców

Żółtka ukręć z cukrem na puszystą masę. Dodaj kilka kropel ekstraktu waniliowego. Na dno kokilek połóż owoce (mogą to być amerykańskie borówki, mrożone drylowane wiśnie, maliny...). Zalej koglem moglem. Na wierzch posyp odrobinę cukru. Włóż do piekarnika nagrzanego do 180 stopni z opcją górnej grzałki i piecz przez 10 minut, aż cukier się roztopi i powstanie twarda skorupka. Podawaj na ciepło. Możesz też zrobić ten sam deser w wersji na zimno. Po prostu nie wkładaj kokilek do piekarnika. Posypany cukrem wierzch możesz lekko przypiec specjalnym kuchennym palnikiem tak, by powstała skorupka.

## *Krokusy*

*„Cóż to za tort śniegowy  
Pełen liliowych świeczek.  
To krokusy zakwitły  
Na urodziny owieczek.”*

*Wanda Chotomska*

